Nr. 19 (1115). Warszawa, dnia 27 Kwietnia (10 Maja) 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i piątki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ:

POLITYKA.

NACYONALIŚCI FRANCUSCY.

Tegoroczne wybory we Francyi, mające dać rzeczypospolitej przedstawicieli narodu aż do roku 1906, w pierwszym dniu walki dn. 27 kwietnia, odznaczyły się tłumnem uczestnictwem obywateli, zwłaszcza po miastach, a przedewszystkiem w samym Paryżu. Co podnieciło obywatelską żarliwość? Czy zwykła, najpospolitsza sprężyna wyborów—ambicya jednostek i grup polityczno-społecznych — żądza pokonania współzawodnika, a odparcia przeciwników? Czy też jakaś bardziej wyszczególniona dążność, ściśle już polityczna, konkretna, od ścierających się w narodzie prądów zależna i z prądów tych wynikła? W wyborach kwietniowych działał ten właśnie szczególny, wykwalifikowany rozpęd wyborców, a nie tylko owe z samej już natury ludzkiej wynikające podniety do uporczywości w walce. To samo stronnictwo, które od kilkunastu lat, daleko więcej niż socyaliści, trzyma Francyę w ciągłym niepokoju, rozterce i rozdarciu — wniosło też w wybory tegoroczne ten prąd zaciętości, który, dając bitwie jak najwięcej walczących, uczynił też wynik jej w niezwykle wielkiej liczbie wypadków wątpliwym, i obudza niezwykłą ciekawość wobec wyborów uzupełniających, na dzień 11 maja wyznaczonych.

Niezwykłe ożywienie wyborów tegorocznych jest dziełem nacyonalistów, spadkobierców Boulangera, sprzymierzonych z antysemityzmem, z klerykałami i wspólnie z nimi torujący drogi cezaryzmowi. Gdyby nie to sprzysiężenie się na rzeczpospolitą, nie byłoby tak tłumnych zbiegowisk u urn wyborczych, nie byłoby też tak wielkiej ilości wyborów nierozstrzygniętych. Nacyonaliści są teraz stronnictwem przewodniem. Ze wszystkich przeciwników republikańskiej formy rządu czyli samorządu narodowego, są oni najruchliwsi, najsilniej chcą i najsilniej wierzą, mają też odwagi więcej, niż ich sprzymierzeńcy, jawnie i chyłkiem z nimi razem idący. Oni też najwięcej na wyborach tegorocznych w pierwszym dniu walki zyskali, a w drugim prawdopodobnie najwięcej też zyskają. Cezaryzm jest najogólniejszą, a więc i najwyżej sięgającą formą wszelkich niezadowoleń z rzeczypospolitej zbyt radykalnej, niedość zachowawczej, wcale nie katolickiej, nawet katolicyzmowi wrogiej, zgoła żydowskiej, zżydziałej, na wszelkie szlachetne idealizmy martwej — dość powiedzieć „rzeczypospolitej.“ Francyi potrzeba cezara, któryby ją porządnie zamiótł, wyczyścił, wyfroterował, całe to błoto republikańsko - radykalne wyskrobał, zgrzebłem idealizmu tradycyjnego grzbiety i karki zuchwałe powycierał, ustawił prawdziwe prawo na dwóch jedynych je go wsporach — tronie i ołtarzu, rozwalił nad Francyą sztucznie przez radykalizm i bezbożność sklecone sklepienie, które ją dusi, i niebo samo nad nią otworzył. Tego wszystkiego cezaryzm tylko dokonać może — i tego dokona.

Kto nie widzi takiego właśnie celu w nacyonalizmie francuskim, ten niech sobie sprawia okulary: nie sprawi sobie już oczu, któremiby mógł patrzeć i widzieć dobrze. Wszystko, z czem paradują nacyonaliści, jest tylko mgłą, tumanem, osłaniającym prawdę ich zamysłów i dążeń, całego ich spisku przeciwko narodowi, który po trzydziestoletnich walkach i znojach wyrobił sobie formę rządu najlepszą, najodpowiedniejszą, jaką mógł znaleźć w obrębie rzeczywistości możliwej, ciężkimi warunkami życia społecznego, nałogów zbiorowych, niedokształcenia umysłów i największego mocarza w dziejach, egoizmu ludzkiego, krępowanej. Nacyonalizm — to przewrót, a przewrót— to ulica. Stąd ciągłe wichrzenia i ciągłe uliczne manifestacye są dla tego stronnictwa stylowemi. Stąd czucie taktyczne i solidarność ze stronnictwami przeszłości: klerykalizmem i orleano-bonapartyzmem; stąd wreszcie prawdopodobieństwo pochłonięcia tych upiorowych kierunków przez nowy, oczyszczający i odradzający Francyę pod hasłem, przez Boulangera jeszcze wydanem, przez Boulangera już urzeczywistnianem. I pretendentowi łatwiej będzie przez cezaryzm dojść do tronu i cezaryzmowi na pretendencie się zaszczepić. Same tylko pretensye nie wystarczą do wzniesienia tronu; monarchiści nie okazali energii wystarczającej. Mają jej za to w bród nacyonaliści: roboty przygotowawcze oni też prowadzą. Cezar czy król—im szkarłatną drogę swą zawdzięczy.

Dziwna małość, uderzająca w ludziach, którymi dotychczas kierował rozsądek, z odwagą umysłu złączony, nakazała półurzędowcom przeróżnych kształtów i funkcyj trąbić po Europie, że pierwszy dzień wyborów wykazał już niepowodzenie nacyonalistów, a przewagę wybranych już zwolenników rządu tak wielką, iż przewidywany już ostateczny wynik wyborów tylko zwycięzkim dla tego rządu być może. Jeżeli niepowodzeniem ma być nieprzeprowadzenie wszystkich kandydatów, to istotnie nacyonalistom się nie powiodło; ale nie powiodło się również, a może w wyższej jeszcze mierze, i republikanom. Tu zatem rachunki wzajemne się znoszą; poważnie o jakiejś klęsce samych tylko nacyonalistów mówić nie wolno; takich klęsk doznają zawsze i wszędzie wszystkie stronnictwa, i nie należy ich wcale brać w rachubę, gdy się stoi na stanowisku poważnem, a nie dziennikarskiem. Jeżeli znowu zwycięztwem ma być przeprowadzenie większej, większością nawet przytłaczającej liczby kandydatów, to nikt takiego zwycięztwa rządowi i republikanom zaprzeczać nie myśli, nikt o nim z góry nie wątpił; ale takie zwycięztwo dlatego właśnie, że w porządku rzeczy, w samem prawie liczby tkwiące, nie jest najważniejszym momentem w sprawie tej walki o przyszłość, którą podejmują nacyonaliści. Ważnem dziś dla rządu, dla Francyi całej, i jedynie ważnem, jest pytanie: czy nacyonalizm, wespół z nałogowymi, historycznymi kierunkami, rośnie w siłę, czy nie? A na to właśnie pytanie dzień 27 kwietnia odpowiedział już: rośnie. Liczby wyborców, nie liczby wybranych, są tu rozstrzygające. Liczby też wyborców przyniosą prawdę naoczną, w oczy bijącą: nacyonalizm we Francyi się wzmaga, a wraz z nim wzmaga się i niebezpieczeństwo: o niem to myśleć powinni — konsulowie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dwadzieścia pięć, a podobno i o dziesięć jeszcze więcej, obozów boerskich głosowało już za pokojem. Jarzma poddania się przez akt umyślny, a nie przez samo zaprzestanie walki, dotychczas nie osładza jeszcze amnestya, jako fakt już wątpliwości żadnej nieulegający; prawdopodobnie jednak nacisk króla Edwarda na ministrów zjedna Boerom wszystkim, więc i wodzom, przebaczenie win, popełnionych przez Anglików. Nakazano już łagodniej obchodzić się z jeńcami na Ś-ej Helenie. Polityka angielska zaczyna już urządzać ziemie, urzędownie podbite jeszcze w lecie r. z. Stoki gór Smoczych, na zachód od Natalu, przyłączyła do tej prowincyi, aby jej dać lepszą granicę; rozciągnięcie Transwalu wschodnio-południowego aż do morza, jednocześnie oznajmiane, wydaje się wątpliwem.

W Austryi d. 7 b. m. zbierają się Izby. Ugoda z Węgrami po tak twardym stąpa gruncie, że obie strony myślą już o urządzeniu się na wypadek zerwania jedności cłowej, obie zaperzone skaczą sobie do oczów. Obrońca honoru narodowego Węgrów, Ratkay, nazwał Fayervarego—o mało co nie zdrajcą za to, że honwedzi grają hymn austryacki: on, Ratkay nie pozwoli na takie znieprawianie młodzieży — ba, całych pokoleń młodzieży węgierskiej. W Wiedniu gazety niemieckie powychodziły z dawniejszych, Węgrom powolnych, zawias: grzmią i piorunują aż do pierwszego wybuchu nienawiści przeciwko Słowianom. Budżet nieuchwalony czeka — na nieuchwalenie. Delegacye za pasem, a tu jeszcze nic gotowego niema, prócz wspólnego budżetu, w którym najpoważniejszą jest nowa armata.

Królowa Wilhelmina walczy ze śmiercią. Sprawa nieobojętna dla Europy.

Prusacy powypędzali mnóstwo młodzieży polskiej z gimnazyów, pod pozorem tajnych związków, do których wypędzeni należeć mieli. W Sejmie była rozprawą o Komisyi kolonizacyjnej. Rząd złożył już projekt nowych robót wynaradawiających, sięga po nowe 100 milionów marek i domaga się szybkiego ich uchwalenia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Jak zwykle na wiosnę, rozpoczęła się znów wędrówka chłopów galicyjskich z kraju. Tysiące robotników rolnych dąży do Niemiec, a ponieważ i tam, skutkiem kryzysu przemysłowego, daje się odczuwać zbytek rąk roboczych, przeto znaczna ich część z rozpaczą powraca, maltretowana przez odstawiające ich do granicy austryackiej władze pruskie. W miastach galicyjskich zastój w przemyśle i rzemiośle, setki i tysiące robotników miejskich oddawna chodzą bez pracy, napróżno oczekując rozpoczęcia większych robót publicznych. W miastach więc niema wcale widoków zarobku dla proletaryatu wiejskiego. Z wielu okolic kraju dochodzą wieści, że lud gotuje się do gromadnej ucieczki — za morze, do Ameryki, do Bośni, do Chorwacyi, Sławonii. W niektórych powiatach Galicyi wschodniej już obecnie panuje gorączka emigracyjna. W Tarnopolskiem nawet zamożniejsi gospodarze wyprzedają ojcowiznę i udają się do Kanady albo do Bośni. Na wszystkie przekonywania chłop odpowiada: „Gorzej, niż u nas, nigdzie być nie może."

Smutne to, że kraj cierpi na systematyczny upust krwi, że rok rocznie dziesiątki tysięcy jego ludności porzucają go na zawsze, ale innego wyjścia niema. W interesie unormalnienia rozwoju Galicyi leży nawet wzrost emigracyi, zniesienie wszelkich sztucznych jej zapór przy jednoczesnem atoli unormowaniu, ujęciu prądu żywiołowego w karby organizacyi i zabezpieczeniu ludowi obrony wobec wyzyskiwaczy, korzystających z niezaradności chłopa. Niestety, pod tym względem nic się w Galicyi nie robi. Nikt nie dba o to, ażeby chłop emigrujący nie był obdzierany na każdym kroku, poczynając od chwili, kiedy wyprzedaje swą chudobę lichwiarzom wiejskim.

---

19)

M. Grossek.

SERCE.

Gdyby Serafina była odrobinę chociaż kłamała... choć trochę grała komedyę... Ale ona wyraziła się zanadto szczerze i znów niezręcznie. To „chcę" ubodło Antoniego do żywego!

— Aaaa! — zaśpiewał, ton biorąc bardzo wysoki, a tak niestrojny i zerwany, jak kiedy w instrumencie struna pęka.

— Tak trzeba?... tak chcesz?... Rozumiem!... Przestraszył cię, moja pani, romans z gołym młodzikiem w szczerem polu, więc wracasz pod legalną pierzynę małżeńską! Kogóż ty więc kochasz: czy męża, któremu przyprawiłaś rogi, czy kochanka, z którym biedy się boisz? Odpowiedz, piękna duszo! Mnie, czy jego?...

Serafina milczała...

— Mówże... odpowiedz! Czym cię już znudził! czy mię przestałaś kochać?—zawołał głosem, który mu w końcu nie dopisał: rozdarł się zadrżał i zdradził płacz, zamknięty w piersi...

— Kochałaś-że mię choć kiedykolwiek? powiedz kobieto... błagam cię.

Serafina milczała. Oczy jej wielkie, spłowiałe od łez barwinki, podniosły się pod powieką ku górze z wyrazem prośby o cierpliwość!...

Milczy... bo cóż mu ona powie? że nie kochała go nigdy!... że mu dała tylko jałmużnę miłości!... dlatego, że umierał...

Nigdy mu tego Serafina nie powie...

Serafina milczała...

— To ja ci powiem — ryknął jak zwierz wściekły. Tyś nigdy nie kochała ani mnie, ani jego... Gziłaś się tylko z nami dwoma, jak suka: ja byłem dla przyjemności, a on dla wygody. Zadrwiłaś z nas i zdradziłaś obu... Najpierw jego dla mnie, a teraz mnie dla niego... Obaj zarówno jesteśmy nieszczęśliwi przez ciebie. Ty... ty!... święcona komedyantko!

O Boże!... a ja tę kobietę tak kochałem!.. traciłem przez nią rozum!... gotów byłem dla niej zwichnąć sobie karyerę życia całego, za smarowoza się nająłem, chciałem ją wziąć niemłodą na kark z bębnami, narazić na niepewne losy moją matkę... moją matkę!...

Tyle cierpień przez nią jedną dla tylu istot!... Ale poczekajże... ja ci wymierzę sprawiedliwość!.. Nie będziesz ty więcej ludzi uwodzić swoją obłudną dobrocią. Ja... z tobą... raz zrobię koniec!..

Z ruchu ręki, sięgającej nad łóżko, domyśliła się, co zrobić zamierzał... Wyciągnęła przed siebie ręce, zastawiając się dłońmi, których palce wyprężyły się konwulsyjnie... Oczy jej, z orbit wysadzone, miotając się w śmiertelnym strachu, szukały wkoło dla siebie ratunku, ucieczki, pomocy... Rzuciła się do jednych drzwi, do drugich... były zamknięte! — do okna... Straciła przytomność. Natura jej nie zdolna do walki i obrony, wpadła zaraz na drogę wrodzonej sobie rezygnacyi. Zamiast uciekać, wtuliła się piersiami i głową w najciaśniejszy kąt pokoju, między dwie ściany, wykrągliła nad sobą plecy, podniosła łopatki i poddała się hypnotyzującej ją woli.

On zmierzył się krótką chwilę, potem palec na kurku zatrzymał:

— Przebacz — mruknął takim głosem, jakim przez sen mówią.

— Przebaczam... ale dlaczego...

Nie dokończyła...

Padł jeden strzał zabójczo celny, który przez plecy ugodził w samo serce.

W ciemnym kącie pokoju, oparty o dwie ściany, stał trup Serafiny.

XXI.

Obojętnie, nawet z uczuciem pewnej ulgi, przyjął Kucz wiadomość o katastrofie.

Złociste chryzantemy patrzały zdziwione przez szybki okien na szereg żałobnych chorągwi, rozstawionych po dziedzińcu, które drzewcami, umocowanemi wśród sztachet, furczały czarnemi płótnami w błękitnem ostrem powietrzu, jak olbrzymie kruki, zlatujące się na żer nad trupem. Służba kościelna zabierała się do zabijania wieka trumny... żółte światełka zapalały się nad gromnicami... wszedł do pokoju nowy proboszcz, młody i wątły w kapie z czarnego

Gospodarka Galicyi prowadzona jest w imię interesów właścicieli wielkiej posiadłości ziemskiej, to też „czynniki miarodawcze“ dzielnicy podkarpackiej traktują emigracyę, jako zuchwały zamach na kieszeń obszarników, jako bezczelne dążenie do podwyższenia płacy robotnikom wiejskim. Z tej więc strony lud nie może się spodziewać żadnej pomocy, gdyż im gorzej się będzie działo chłopom, im więcej będzie rąk wolnych do pracy na pańskiem, tem trwalszą pozostanie przewaga ekonomiczna i, co zatem idzie, polityczna większych właścicieli.

Obecnie co rok przybywa około 40 tysięcy ludzi, zdolnych do pracy — do pracy, której im kraj w żaden sposób dostarczyć nie może. Gdyby nawet Galicya została uprzemysłowiona, to i tak nawet pozostawałyby zawsze dziesiątki tysięcy ludzi, dla których jedynym ratunkiem byłaby emigracya. Parcelacya większych, a właściwie średnich majątków ziemskich, zaledwie w mikroskopijnej części zmniejsza liczbę proletaryatu rolnego i prawie wcale nie wpływa na zatamowanie procesu proletaryzacyi chłopów. Emigracya więc jest i pozostanie tą klapą bezpieczeństwa, która jedynie może uchronić Galicyę od poważniejszych katastrof społecznych.

Emigracya galicyjska ma odmienny charakter na zachodzie i na wschodzie. Gdy ludność wschodnio-galicyjska — nietylko rusińska, ale w znacznej mierze i polska, opuszcza kraj na zawsze, sprzedaje ziemię i wędruje do Kanady lub Bośni, chłopi zachodnio - galicyjscy bardzo rzadko emigrują bezpowrotnie. Większość z nich udaje się bądź do Prus, bądź do Ameryki Północnej z tym zamiarem, ażeby, uciuławszy nieco grosza, powrócić do domu. Udający się do Prus powracają regularnie po ukończeniu robót polnych, „amerykanie“ zaś czynią to po kilku latach pobytu za morzem. Pieniądze, przywożone lub przesyłane z obczyzny, stanowią dziś w budżecie chłopa zachodnio - galicyjskiego nawet poważną pozycyę. Z Ameryki zwłaszcza płyną do Galicyi zachodniej bardzo znaczne sumy, obliczane na miliony reńskich rocznie. W tych powiatach zachodnio-galicyjskich, skąd oddawna już trwa zarobkowa emigracya do Ameryki Północnej, daje się zauważyć nawet pewien wzrost dobrobytu włościan. Rodziny, których członkowie pracują gdzieś w kopalniach Pensylwanii, nietylko wydobywają się z sideł długów lichwiarskich, ale często dokupują ziemi i ulepszają gospodarstwo.

W znacznej mierze pod wpływem finansowych skutków emigracyi amerykańskiej, zwiększa się w ostatnich czasach nabywanie gruntów we wschodniej Galicyi przez chłopów polskich. Temu też przypisać należy procentowy wzrost ludności polskiej na Rusi. Wogóle emigracya odbija się i na stosunkach etnograficznych Galicyi. Według spisu ludności z roku 1890, na 1000 mieszkańców kraju było Polaków 532, Rusinów 428, Żydów 117. W dziesięć lat potem wzajemne ustosunkowanie tych trzech żywiołów zmieniło się o tyle, że na 1000 mieszkańców Polaków było 544, Rusinów 421, Żydów 110. To procentowe zmniejszenie się liczby Rusinów, a zwłaszcza Żydów, jest niewątpliwie skutkiem emigracyi.

Dotychczas prawie nie zwracano u nas uwagi na emigracyę Żydów. Tymczasem emigracya ta trwa i nawet stale się zwiększa. Dowodzi tego między innemi nieznaczny stosunkowo przyrost ludności żydowskiej w ostatniem dziesięcioleciu. Kiedy ogół ludności zwiększył się od r. 1890 do 1900 o 10,75%, ilość mieszkańców wyznania mojżeszowego wzrosła zaledwie o 5%. Żydzi emigrują przeważnie do Wiednia, a oprócz tego do Ameryki Północnej. Należy zaznaczyć, że istnieje i imigracya żydowska do Galicyi—z Rosyi południowej i poniekąd z Rumunii, ale nie posiada ona większego znaczenia.

Jak wszelki postęp w Galicyi, tak i uregulowanie i unormowanie emigracyi zależy przedewszystkiem od zniesienia panowania politycznego obszarników, od wzmocnienia się żywiołów opozycyjnych i od rozbicia Koła w parlamencie wiedeńskim. Wobec słabości czynników miejskich w Galicyi, wszelkie prądy antystańczykowskie muszą szukać oparcia w ludzie wiejskim, który sam swą liczebnością, wyzyskaną umiejętnie, może zadać poważny cios panowaniu stańczykieryi. Chodzi tylko o to, aby ludzie, opierający się na chłopach, umieli skierować tę siłę do właściwego celu.

Dotychczas, niestety, nie było w Galicyi partyi takiej, któraby stała na wysokości tego zadania, i lud szamotał się rozpaczliwie, wsłuchany w rozmaite hasła, dolatujące doń z miast. Ksiądz Stojałowski pierwszy uruchomił drzemiące dotychczas masy, następnie stronnictwo ludowe nadało wzmagającemu się ruchowi formy organizacyjne, i zdawało się, że właśnie ono poprowadzi lud do zwycięztwa. Ale wkrótce już nastąpiły niesnaski w łonie głównego sztabu armii. Ksiądz Stojałowski podążył na lewo, ludowcy poszli na prawo. Wybory do parlamentu z r. 1897 skończyły się tryumfem Stojałowskiego i porażką ludowców. Od tego czasu rola stojałowczyków i ludowców zmienia się zasadniczo. Ludowcy pomału powracają na dawne opozycyjne stanowisko i odzyskują wpływ utracony. Stojałowski zupełnie otwarcie zdradza swój lud i zaprzedaje swych posłów partyi stańczykowskiej. Walka bratobójcza pomiędzy dwoma odłamami ruchu ludowego osłabia obydwa, i jakaś apatya ogarnia tak czynne do niedawna partye ludowe. Niepowodzenie przy ostatnich wyborach zniechęciły ogół chłopów ze stronnictwa ludowego; coraz to nowe zdrady Stojałowskiego, podkopujące jego wpływ osobisty, szerzą demoralizacyę wśród jego dotychczasowych zwolenników. Obecnie w ruchu ludowym panuje pewien zastój. O wiecach chłopskich, tak niedawno jeszcze zwoływanych we wszystkich powiatach, objętych organizacyą ludowców, nic teraz nie słychać. Ksiądz Stojałowski możeby i zwoływał wiece, ale jego niedawni zwolennicy pałają ku niemu taką niechęcią, że ksiądz-redaktor boi się wprost ukazywać swym wyborcom.

Prawdopodobnie ten zastój, wypływający ze zniechęcenia szerokich mas ludowych, każe obecnie stronnictwu ludowemu szukać oparcia w miastach. Wybór posła Bojki we Lwowie stanowi erę, od której poczyna się wkraczanie ludowców na grunt miejski. Wychodząc z założenia, że ludność miejska, drobnomieszczaństwo i mieszczaństwo może w Galicyi tylko wówczas stanowić siłę polityczną, jeśli oprze się na ludzie miejskim, stronnictwo ludowe rozpoczęło pracę organizacyjną wśród drobnomieszczaństwa.

Dotychczas robota ta nie dała poważ-

---

aksamitu, osmuconej srebrnemi taśmami, i w czworograniastym na głowie birecie, a Kucz, zamknięty w swym pokoju, opierał się ostatnim namowom... i nie dał nakłonić do oddania tym biednym zwłokom ostatniego pożegnania i ostatniej posługi.

Nie widział i nie pożegnał trupa żony, który zohydziła śmierć zagadkowa, zadana przez gacha w sypialni, w bieliźnie, po podejrzanem sam na sam.

Za trumną nie szedł mąż, ani kochanek.

. . . .

Antoni sam się stawił przed sądem, jako zabójca, ale uwolniono go prędko na zasadzie świeżo przebytej choroby umysłowej.

Cierpienia i zmaza, jakiemi go ta nieszczęsna miłość okryła, obmierziły mu wszelkie jej wspomnienie, wypaliły mu ją z duszy lapisem. Siadł na bryczkę pocztową i pojechał w świat, przysięgając sobie, że nigdy więcej noga jego w tych miejscach nie postanie. Ale przed wyjazdem miał jeszcze długą, poufną rozprawę z Kuczem, po której rozeszli się jak przyjaciele, podawszy sobie ręce w zgodnem potępieniu umarłej.

. . . .

Po kilku latach wszystko już było inaczej na tym małym światku.

Kucz ożenił się z nauczycielką swych coreczek, z tą samą panną Maryą, nadobną warszawianką, która miała oczy jak tarki i cerę róży herbacianej. Pani Marya umiała inaczej męża rozgrzać i rozmiłować w sobie, niż pierwsza żona... O pierwszej mówił: „jak to wszystko umie spreparować ta moja poczciwa Serafina,“ ale nad drugą unosił się: „jak to wszystko umie obmyśleć ta moja pieszczona Mińcia.“

Pani Marya zatarła do reszty ślad Serafiny, nie w sercu Stanisława, bo tam już jej oddawna nie było, ale w jego charakterze. Zaniedbała ona zupełnie tę strunę humanitarnej dobroci, którą tak była ogrywała nieboszczka, natomiast podjęła inną, jeszcze niewyzyskaną dotąd: strunę jego chełpliwości! Charakter Kucza zmienił się też nie do poznania pod ręką tego drugiego wirtouza.

Za panem przeistoczył się w równej mierze dom cały. Mieszkanie zostało urządzone z komfortem i smakiem. Towarzyskie stosunki poprowadzone z tonem i taktem. *Kazano* się szanować. Oszczędności zarządzono wielkie... groszowe — ale i wielkie wydatki na tysiące rubli... stroje i meble, fortepian i powóz z Warszawy, wycieczki do wód, kucharza i ogrodnika, mamkę i bonę do malutkiego infanta. Pokorna służba stąpała teraz jak po szpilkach.

. . . .

Dzieci Serafiny odwiezione zostały do pani Krzeczko na Litwę. Rosły tam zdrowe, śliczne, dobre i szczęśliwe. Świeże ich głosy rozbudziły znów życie w starym domu drewnianym, który po odjeździe Stanisława i Serafiny obumarł, ożywiły stare, cieniste aleje, gdzie dziewczynki zrywały róże z tych samych krzaków, z których zrywała je ongi, w tym samym będąc wieku, nieszczęśliwa ich matka.

. . . .

Więc śmierć Serafiny przedziwnie sharmonizowała się z jej życiem, tak, jakby ona ją sama wymarzyła dla siebie... Odeszła ze świata, nie unieszczęśliwiając nikogo, nie wycisnąwszy niczyich łez, nie zachmurzając niczyjej doli... Owszem, być może i kochankowi i mężowi w porę...

. . . .

A świat co?

Świat najpierw śmiał się z niej, potem się nad nią litował, potem sondował jej winy, jak przyjaciele Hioba, a potem o niej zapomniał. Z klisz ludzkiej pamięci znikły te oczy, jak barwinki, uważne i miłosierne, to czoło po dziecinnemu za duże i za wypukłe, te usta w kształcie wąziutkiej podkowy, których kąty rozwiewał uśmiech nie z tego świata. Znikły — zastąpione łatwo, bez wyboru, bez żalu, nawet bez zrozumienia różnicy, tłumem grubych, pospolitych, zmysłowych rysów. I słodycz jej serca w goryczę ludzkiego życia wsiąkła bez śladu, nie osłodziwszy ich nawet... bez dziękczynnego wspomnienia.

. . . .

Prosty jej grób leżał na końcu cmentarza pod kawałkiem rozwalającego się muru. Nikt nie przychodził tutaj sadzić i podlewać kwiatów... Porosła go bujna, niedeptana trawa, a mogiła zawaliła się wkrótce.

KONIEC.

niejszych wyników, co zresztą jest całkiem zrozumiałe, jeśli zważymy, jak niedawno została rozpoczęta. Nie mogła ona jednak nie wywołać wielkiego niezadowolenia w tym obozie, którego interesy są przez nią narażone — wśród t. zw. demokratów, którzy skupili się we Lwowie dokoła *Nowego Słowa Polskiego*. I to tem bardziej, że ludowcy, zachęceni powodzeniem Bojki, stawiają obecnie kandydaturę p. Jana Stapińskiego do parlamentu. Mandat lwowski wakuje wskutek zrzeczenia się go przez p. Romanowicza, który został członkiem Wydziału krajowego. Ponieważ do reprezentowania Lwowa roszczą pretensye t. zw. demokraci, przeto kandydatura p. Stapińskiego wywołała wielkie oburzenie śród demokratów typu Rutowskiego, Romanowicza i S-ki. Wybór posła ze Lwowa odbędzie się w połowie maja, a tymczasem pomiędzy *Kuryerem Lwowskim* a *Nowem Słowem Polskiem* toczy się zawzięta polemika, z której t. z. „demokraci" wychodzą z bardzo nadszarpniętą opinią. Zadanie *Kuryera Lwowskiego* jest niezmiernie łatwe. Szereguje on poprostu wszystkie te zarzuty, jakie wytaczała dotychczas przeciwko „demokratom" galicyjskim prasa robotnicza. A więc udawadnia, że pomiędzy stańczykami konserwatywnymi a stańczykami, przebierającymi się w szaty pseudodemokratyczne, niema wcale różnicy, gdyż ci ostatni, dobrowolnie wszedłszy do Koła, pełnią tam najwstrętniejsze obowiązki lokajów stańczykowskich. *Kuryer Lwowski* wykazuje całą obłudę i bezgraniczne karyerowiczostwo wszystkich tych Rutowskich, Lewickich, Romanowiczów itd., którzy, udając srogich opozycyonistów, wchodzą w konszachty ze stańczykami i zupełnie świadomie okłamują opinię publiczną, szerząc demoralizacyę w społeczeństwie i utrwalając panowanie konserwatystów.

Tak ostra, a jednak najzupełniej słuszna krytyka postępowania „demokratów" była dotychczas monopolem *Naprzodu*, to też jej wkroczenie na szpalty *Kuryera Lwowskiego*, który dotychczas traktował „demokratów" łagodnie, albo, jeśli nawet krytykował, to nie w sposób zasadniczy, wywołało powszechną konsternacyę. Tak zwani „demokraci" zrozumieli dobrze, że tu nie chodzi o jeden mandat, ale o całą ich przyszłość, jako partyi. Poczęli się bronić, ale w sposób tak niezręczny, że słuszność krytyki organu ludowców dla każdego stawała się jasną.

Niepodobna na razie przesądzać ostatecznego wyniku walki. „Demokraci" czerpią siłę z zupełnego niewyrobienia mieszczaństwa galicyjskiego, ludowcy zaś niczem jeszcze nie udowodnili, że potrafią przywiązać do siebie to mieszczaństwo, a hasło „wyodrębnienia Galicyi," wysuwane obecnie przez ludowców na plan pierwszy, zbyt jest utopijne i niewczesne, aby mogło dodać im siły. W każdym jednak razie próbę organizowania drobnomieszczaństwa przez stronnictwo ludowe należy uważać za zjawisko dodatnie w galicyjskiem życiu politycznem, o ile, naturalnie, nie przyczyni się to do zaniedbania pracy ludowców śród mas chłopskich. A tego ostatniego można się poważnie obawiać.

Wydział „Macierzy szkolnej" dla Księstwa Cieszyńskiego zwraca się znowu do społeczeństwa o zasiłek dla zagrożonych szkół polskich w Cieszynie: gimnazyum i szkoły ludowej. Niedołęztwo i jawna niechęć narażenia sobie sfer rządowych nie pozwala Kołu domagać się energicznie upaństwowienia gimnazyum, to też fundusze jego są na wyczerpaniu. Odezwa „Macierzy szkolnej" zapewnia, że gimnazyum zostanie upaństwowione w r. 1904, ale na czem opiera to swoje przypuszczenie — nie wiadomo. Jeśli na obietnicach Koła, to śmiało można powiedzieć, że gimnazyum *nie* zostanie upaństwowione. Tymczasem położenie istotnie jest groźne. Na utrzymanie gimnazyum i szkoły ludowej w Cieszynie do 1 stycznia 1904 r. potrzeba 95,000 koron, a w kasie obecnie jest zaledwie 15,000, tj. brakuje 12,000 koron do sumy koniecznej, ażeby utrzymać oba zakłady do końca *roku bieżącego*. Jeżeli więc społeczeństwo polskie znowu nie przyjdzie z prędką a obfitą pomocą, obie uczelnie polskie upadną jeszcze w tym roku ku wielkiej radości Niemców, Czechów, a zapewne i Koła, które pozbędzie się nareszcie kłopotu ustawicznego naprzykrzania się rządowi z tą sprawą.

Daleki.

KARTEL KARTELI.

II.

Daleko większe znaczenie posiadają najbardziej znane i rozpowszechnione „Kartele cen," istniejące w najrozmaitszych odmianach. Ta mnogość form tłomaczy się niemożnością przeprowadzenia jednolitych a istotnie skutecznych przepisów, normujących cenę. Pojedynczy członek syndykatu choć dobrowolnie, party „świętym głodem złota," przyłączył się do kartelu i cieszy się, że nareszcie okiełznał dokuczliwego rywała, sam gotów różnymi kruczkami, kosztem karteli, zbogacić się na własną rękę, bądź udzielając swej klienteli i rabatu nieprzewidzianego w umowie i przepisach syndykatu, bądźto szafując kredytem i ustępstwami w obliczaniu kosztów przewozu itp. Tu właśnie w tych kartelach zorganizowanej sprzedaży, w przeciwieństwie do wymienionych poprzednio niższych rodzajów, przedsiebiorcy związano ręce wtedy, kiedy mógł je wyciągnąć z zamiarem zagarnięcia zysku. Nie idzie tu już o zastęp roboczy, wychowywany w zasadach skromności, wstrzemięźliwości i zadowolenia, ani o dostawców, lecz o klienta i spożywcę oszukiwanego i wyzyskiwanego według wszelkich prawideł mądrości kupieckiej. Tu też pomiędzy tradycyą nieograniczonej „wolności" handlu a zorganizowanym monopolem zbiorowym, pomimo widocznych jego korzyści, był zatarg nader silny i widoczny.

Wskutek tego kartele usiłowały zaprowadzić w swych szeregach dyscyplinę. Już sama umowa miała wiązać członków. Pierwotna forma kontraktu nie wystarczała jednak. Początkowo kartele umawiały się ustnie i potajemnie. Dawano sobie „słowo honoru" i przysięgano solidarność względem nienasyconych robotników, chciwych dostawców i bezczelnego w swych pretensyach klienta. Cała procedura z konieczności miała charakter tajemniczy. Obawiano się rządu, prasy i opinii publicznej. Aliści okazało się, że w sprawach pieniężnych uroczyste „słowo honoru" traci swą moc obowiązującą. Wtedy jęto się innych sposobów. Od zdrady miały odstraszać kary konwencyonalne lub kaucye składane w postaci pieniędzy, papierów wartościowych i weksli. Gdy jednak i te środki wobec widoków na niezwykłe zyski nie skutkowały, uciekano się do sądów honorowych i wyroku infamii. W tym wypadku cały świat kartelowy zrywa stosunki z człowiekiem, który nie potrafi stać na straży interesów własnego stanu. Doświadczenia dotychczasowe przekonały jednak, że wszystkie te środki, skodyfikowane już zresztą w dostatecznej mierze, nie mogą się ostać wobec słabości ludzkiej. Same kartele muszą uledz tak radykalnej zmianie, aby skłonną do nieposłuszeństwa i buntu naturę ludzką ujarzmić do gruntu. Tylko wtedy staną się panami świata i ludzkości, gdy pierwiastek indywidualistyczny sprowadzi się w nich do minimum, a karność i przewagę woli zbiorowej, ześrodkowanej do—maximum. Stąd powstały kartele najwyższego rzędu t. zw. kontynentowe, stanowiące przejście do trustów. Zanim jednak pomówimy o tej najdoskonalszej formie zorganizowanego zysku i wyzysku, chcielibyśmy poświęcić kilka słów statystyce karteli. Otóż z góry trzeba powiedzieć, iż wszelkie dane w tej kwestyi nie mają absolutnie żadnej wartości. Jak już widzieliśmy, kartel powstaje drogą tajnego porozumienia. Jako konferencya zaczepna na wielką skalę, sprzeciwiająca się tradycyom handlu, opartego na konkurencyi i zasadniczo narzucająca swe *sic volo, sic jubeo* zarówno rządowi, jak robotnikom, współzawodnikom, dostawcom, odbiorcom hurtownym i spożywcom detalicznym. Kartel musi z góry być przygotowany na opór, protest i podejrzenia. Dalej syndykat wszelkiego rodzaju przynosi niesłychane korzyści, a wzrost dywidendy bądź zachęca do założenia karteli konkurencyjnych, bądź wywołuje zwiększone opodatkowanie. Słowem, kartel powinien, o ile można, nie występować urzędowo i publicznie jako instytucya samodzielna. Ztąd chwiejność w opiniach autorów co do ilości karteli. Najbardziej wiarogodny badacz syndykatów Liefmann („Die Unternehmerverbände") nalicza 345 karteli w samych Niemczech w 1897 r. Ilość ich prawdopodobnie nie wzrosła już dlatego, że kartele współzawodniczące po pewnym czasie łączą się w większy syndykat; instytucye tego bowiem rodzaju do pewnego, dotychczas nieosiągnięto jeszcze punktu, dają zyski proporcyonalne do swych rozmiarów.

Z przytoczonej przez Liefmanna cyfry 82 karteli przypadały na przemysł chemiczny, 80 — na żelazny, 60 — kamienny, 38—przędzalniczy, 19 — papierowy, 17 — węglowy, 15—metalurgiczny itd. Nadto 40 gałęzi przemysłu niemieckiego należało do syndykatów międzynarodowych. W większości wypadków były to przedsiebiorstwa chemiczne. W 20 syndykatach z góra przyjmowały udział fabryki angielskie i niemieckie. Niemcy dotychczas są klasycznym krajem syndykatów. Anglia na tym punkcie pozostała ilościowo za nimi, ale za to w tym kraju kartele coraz częściej przeradzają się w trusty na modłę amerykańską. W Niemczech szczyt rozwoju stanowią t. zw. kartele kontyngentowe, do których przechodzimy obecnie.

Widzieliśmy, wśród jakich bólów porodowych przyszła na świat idea „powszechnego pokoju" w wielkim przemyśle, jak sfery kapitalistyczne, które chciano zorganizować za pomocą związków przedsiebiorców przeciwko pracownikom, dostawcom, a przedewszystkiem spożywcom, oburącz trzymały się tradycyi wolnego handlu, która im weszła w krew i ciało. Bez wolnej, a nawet swawolnej konkurencyi nie można było sobie wprost wyobrazić wytwarzania, właściwego obecnemu okresowi historycznemu. Wszak cały system urządzeń i pobudek osobistych, które stanowiły istotę t. zw. wolnego handlu, wytworzył grunt dla najszczytniejszego rozkwitu cywilizacyi. Zapomniano tylko, że system ten sam stopniowo przeradzał się w swą antytezę dziejową. Prawodawstwo społeczne i gorączka celna zadały mu cios śmiertelny. Teraz przyszła kolej na samą formę przedsiebiorstwa. Wszystkie jednak środki spojenia luźnych zakładów przemysłowych w systemy przedsiebiorstw i zaprowadzenia w nich karności okazywały się niedostatecznymi. Chciwość indywidualistyczna wypływała zawsze na wierzch i psuła robotę. Dopiero kartele t. zw. kontyngentowe rozwiązały zadanie w sposób trafny.

Inicyatywa pojedynczych przedsiebiorstw ma w tym wypadku bardzo ciasne granice.

Nazewnątrz zachowują one wszelkie pozory samoistności. Mają swą własną klientelę, od której mogą przyjmować obsta-

lunki. Ale z chwilą dokonania tej tranzakcyi, kończy się kompetencya zakładu. Wszystkie dalsze stadya wchodzą w zakres centralnego biura kartelu, normującego zarówno produkcyę, jak zysk. Każde oddzielne przedsiebiorstwo bierze wedle wskazówek biura, określony udział w całkowitym wytworze i zysku kartelu. Centralny zarząd reguluje, niweluje, wyrównywa i dzieli na odpowiednie części cały zysk kartelu, oraz zysk zdobyty na całej masie wykonanych robót. Biuro niekiedy posuwa się do tego, iż zaprowadza własne składy, filie i sklepy, a nawet samo przyjmuje obstalunki, urządza wywiady za granicą, wysyła własne wyprawy handlowe, organizuje wystawy itd. I tu widzimy, jak na poprzednio naszkicowanych niższych stopniach rozwoju, mnóstwo form, mających wspólną tendencyę, której granice trudno wprost jeszcze przewidzieć. Te wyższe kartele zwróciły na siebie uwagę dopiero wtedy, kiedy okazało się, iż we wszystkich dostawach, niemieckie fabryki cementu, szyn, lokomotyw itp. ofiarują zagranicy wyższe ceny, niż własnemu krajowi.

Punkt kulminacyjny opisywanych karteli stanowi kontyngentacya zysku. Więc Nawet tu, w ostatecznym wyniku mozołów i zabiegów, gdy idzie o t. zw. nadwartość, przedsiebiorca nie jest panem swego zakładu, lecz obowiązany jest dzielić się ze swym „rywalem,“ który w istocie przestaje nim być z zanikiem zasady i podstaw konkurencyi. Regulacya przyjmuje tu dwie formy, w swym despotyzmie, że się tak wyrażę, nieubłagalne i konsekwentne. W pierwszym wypadku kartel pozwala swym członkom umawiać się z klientelą, ale za to zysk idzie do wspólnej kasy. W drugim — skupuje od swych członków wyrób po cenie wyższej, a płynący stąd zysk ulega podziałowi na zasadach proporcyonalnego uczestnictwa zakładów. Ta ostatnia forma kontyngentacyi, oryginalna ale nader zawiła, okazała się praktyczną i skuteczną. Stanowi ona jedno z możliwych przejść do trustu, gdyż ogałaca zakład z czynności handlowych, które dotychczas były ściśle związane z funkcyą przedsiebiorcy. Z chwilą gdy kontyngentacya zysku łączy się z kontyngentacyą podaży (sprzedaży) i kupna (względem dostawców), rola przedsiebiorcy ulega zmianie, będącej pewnego rodzaju rewolucyą. Z konieczności bowiem musi zmienić się pogląd opinii i rządu na stanowisko społeczne przedsiebiorcy. Zarówno finansiści w swych projektach opodatkowania, jak umiarkowani reformatorzy (np. szkoła „wolnej ziemi“) lub etycy z zabarwieniem społecznem, odróżniali skwapliwie lichwiarza, rentiera, kamienicznika landlorda od przedsiebiorcy. Uważano tego ostatniego za istotę czynną, w obecnych warunkach niezbędną, pełniącą pewną rolę, opłacaną co prawda, jak przyznawano, wbrew zasadzie *suum cuique* gdyż honoraryum to nie da się porównać do wynagrodzeń za czynności i obowiązki pożyteczniejsze z rozpowszechnieniem towarzystw akcyjnych, a zwłaszcza gdy powstały i przeszły w regułę kartele, powyższy punkt widzenia traci racyę bytu. Nietylko wynagrodzenie przedsiebiorcy jest za wysokie, ale on sam staje się zbytecznym. Tę właśnie epokową zmianę obrał znany ekonomista amerykański Wells, którego „Recent economic changes“ w przeróbce przywłaszczono i naszej literaturze, za jeden z punktów wyjścia dla wydanej przed kilku tygodniami utopii pt. „Anticipations of the reaction of mechanical and scientific progress etc.“ W przeciwieństwie do Bellamy'ego, autor oparł się głównie na dążnościach rozwojowych życia amerykańskiego, które wskutek odrębnych warunków historycznych, geograficznych i ekonomicznych, ukształtowało się nieco odmiennie niż, w Europie. Pod pewnym względem jednak punkt widzenia Wellsa ma znaczenie i dla nas. Twierdzi on mianowicie, iż wskutek powstania nowoczesnych związków przedsiebiorców i przewrotu, wywołanego przez nie w organizacyi przemysłu, przedsiebiorca spada stopniowo na stanowisko bezczynnego stypendysty i rentiera. Następuje zwyrodnienie całej klasy, która odegrała swą rolę historyczną, a jednak pobiera pensyę jedynie na mocy i z tytułu posiadania. Wszystkie jej przywileje powinny przejść do innych warstw. Słowem, o ile można wnosić z wywodów Wellsa, luzak przedsiebiorca będzie wkrótce w Ameryce, wskutek opanowania całego przemysłu przez trusty, takim samym mniej więcej anachronizmem, jak rycerz z nastaniem wojsk regularnych. Kartelizacya przemysłu europejskiego, dokonywająca się w Niemczech bardzo szybko i gruntownie, musi przyspieszyć proces moralnej degradacyi przedsiebiorcy; utworzony zaś obecnie w celach obronnych „kartel karteli,“ o którym wspomnieliśmy na wstępie, może się stać dlań grobem w razie, gdyby ta nowa instytucya, za przykładem amerykańskich „concernów,“ zadzierzgnęła węzły ściślejsze między kartelami *rozmaitych* gałęzi przemysłu.

Kartele pod innym jeszcze względem wpłynęły na nastrój opinii publicznej wobec wielkiego przemysłu. W ręku karteli stał się on organizacyą wyzysku i swawoli ekonomicznej, potęgą, której rząd i społeczeństwo zmuszone są wypowiedzieć wojnę na śmierć i życie, o ile nie mają być narażone najżywotniejsze interesy ogółu.

Przyjrzyjmy się stanowisku literatury w tej sprawie.

H. Forszteter.

ODCZYTY.

Atanazy Bardzki: *O pracy umysłowej kobiet.*

Nieustanny i niestrudzony pochód rodu ludzkiego ku postępowi, światłu i brzaskom lepszej przyszłości przypomina często, jak zresztą zauważono już nieraz, odwieczne dzieje Syzyfa, zmuszonego toczyć na stromą górę kamień olbrzymi, który z jej wierzchołka stacza się i stacza bez końca. Na każdym kroku spotykamy pewniki i prawdy, udowodnione sto razy przez naukę, stwierdzone tysiąckrotnie przez samo życie, co jednak nie zabezpiecza ich wcale od nieustannych zamachów ze strony zawsze pewnej siebie ciemnoty, często bardzo tryumfującej złej woli, nigdy nie pozbawionej jadu nienawiści — nietolerancyi.

Ileż np. skruszono już polemicznych kopij, wypisano atramentu, wygłoszono mów i odczytów, w celu udowodnienia, że kobieta ma nietylko prawo, ale i obowiązek moralny i społeczny, rozwijania, na równi z mężczyzną, wszystkich swych sił i zdolności, że ma ona równie z nim prawo do wiedzy, do pracy samodzielnej i do zajmowania najszczytniejszego na ziemi stanowiska *prawdziwego człowieka.* Życie, mnożąc faktów tysiące, pospieszyło z dzielnem poparciem wywodom teoryj, które, zdawało się, zdobyły już sobie powagę i znaczenie niezbitych pewników matematycznych. Tak, lecz to wszystko nie uchroniło i długo jeszcze w przyszłości uchronić nie potrafi pięknych zdobyczy kultury nowożytnej od ochotniczych wycieczek harcowników wstecznictwa, którzy, drwiąc z wyników wiedzy, zasłaniając wzrok przed oczywistością, gotowi zawsze wyrzucić z piersi jakieś hasło w rodzaju: „Nie tędy droga!“ „Wielkie bankructwo umysłowe!“ — i bić na oślep w to wszystko, czego pojąć i uznać nie chcą lub nie mogą.

Mozolnej, lecz niewątpliwie wdzięcznej pracy wtoczenia raz jeszcze na szczyt góry syzyfowego odłamka skały podjął się świeżo p. Atanazy Bardzki, członek sądu z Ekaterynosławia, który przybył do Warszawy i z ujmującym zapałem i młodzieńczą werwą polemiczną wygłosił tu pięć obszernych odczytów o pracy umysłowej kobiet, wyczerpujących do gruntu wszystkie strony sprawy, która w oczach niektórych publicystów naszych (ale już chyba naszych tylko!) nie przestała być dotąd t. zw. „kwestyą społeczną.“

Odczyty p. Bardzkiego tworzą razem dzieło poważne, które, ogłoszone drukiem, byłoby nader cennym nabytkiem piśmienniczym, zarówno ze względu na wysoce humanitarną myśl przewodnią, przenikającą całą pracę, jak i na zebrany w niej obfity materyał faktyczny, doprowadzony aż do czasów najnowszych, w wielu razach do r. 1901 lub nawet 1902. Na tem miejscu możemy naturalnie najogólniej tylko wspomnieć o treści tej pracy, która podzielićby się dała na trzy części: historyczną, polemiczną i, że się tak wyrażę, praktyczną. W tej ostatniej autor zebrał mnóstw faktów pouczających i dał szereg pożądanych wskazówek, z jednej strony odtwarzających wszechstronnie dążenie kobiety do wykształcenia wyższego i do pracy w dziedzinie pedagogii, literatury, publicystyki, sztuk pięknych, medycyny, farmacyi, we wszelkich biurach i na urzędach, w sądownictwie, wreszcie i w adwokaturze, z drugiej— ułatwiających jej usuwanie przeszkód, które dziś jeszcze mogą kobiecie zagrodzić drogę do źródeł wiedzy i do ognisk pracy samodzielnej.

W części polemicznej, zwróconej głównie i skutecznie przeciwko rozgłośnemu „studyum“ o emancypacyi kobiet biskupa Niedziałkowskiego, zasługuje na uwagę ustęp, wykazujący obłudę niepowołanych obrońców kobiety, którzy, rzekomo pod wpływem troski o zdrowie jej i siły, odmawiają przedstawicielkom „płci słabej“ prawa wstępu do wyższych zakładów naukowych i do zajmowania stanowisk w różnych zawodach, wymagających wykształcenia fachowego, a jednocześnie nie wspominają nawet o stokroć uciążliwszej pracy w kopalniach i fabrykach, stojących przecież otworem przed kobietą z ludu. Charakterystyczną była również uwaga, że chaotyczność, niekonsekwencya, brak ścisłości i logiki w rozumowaniu, oraz inne wady, przypisywane kobietom przez wojowniczego autora i podawane przezeń, jako główny dowód „niższości“ umysłowej kobiet, z łatwością właśnie odnaleźć się dadzą w książce „Nie tędy droga, szanowne panie!“ i utrudniają nieraz polemikę naukową z jej twórcą.

Słówko jeszcze należy się pięknemu zakończeniu ostatniego odczytu, gdzie autor, po wszechstronnem wykazaniu *prawa* i zdolności kobiety do równej z mężczyzną pracy umysłowej, przypomina w gorących słowach, że praca, ale praca należycie wynagradzana, opłacana, jest nietylko prawem, lecz zarazem obowiązkiem tych wszystkich, którzy mają pretensyę do nazwy człowieka, i nie szczędzi gorzkiej ironii tak licznym dzisiaj jeszcze żonom i córkom, które, korzystając z czystem sumieniem z pracy lub majątku swych mężów i ojców, uważają, że same „nie potrzebują“ pracować, że nie „po to“ przecież za mąż wychodziły, aby „jeszcze myśleć o zarobku.“ Pełnym zapału hymnem na cześć pracy i ponętnym obrazem kobiety przyszłości, kobiety-człowieka w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu, którą zresztą i dziś już spotykamy przecież nierzadko, zakończył prelegent seryę odczytów. Z wyjątkiem ostatniego, nie zbierały one jednak w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa takiej liczby słuchaczów, jakąby przyciągnąć była powinna ciekawa i pouczająca ich treść. Może odegrała tu rolę pewna nieufność do odczytów treści naukowej, zdyskredytowa-

nych podobno serya ostatnich pogadanek hygienicznych, a może jest wogóle niewesołym wyrazem upodobań naszych, bo przecież różne zwierzenia podróżnicze p. St. Bełzy mają zawsze przywilej napełniania sali odczytowej po brzegi. W każdym razie sądzimy, że słuszność ma jedna z kobiet, zarzucająca prasie codziennej, że do uczęszczania na wykłady p. Bardzkiego nawoływała tylko kobiety. Mężczyźni również dowiedzieliby się z nich wielu rzeczy ciekawych o zwycięzkiej walce, którą kobieta stoczyć musiała na drodze do światła i wiedzy, o trudnościach, które przezwycięża, o godnych wreszcie ze wszech miar uwagi wynikach swych wysiłków umysłowych, do których dochodziła i dochodzi.

Wł. B.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Uciążliwy podatek.

Warszawa ozdabia się... sklepami. Kto tylko może, wybija w spodzie swego domu szerokie okna i wstawia duże szyby, zamieniając w ten sposób sturublowy dochód z pokoików parteru na tysiącorublowy. Bo amator na sklep zawsze się znajdzie, zwłaszcza że obecny zwrot naszego społeczeństwa kieruje się przeważnie ku handlowi. Więc dół Warszawy błyszczy nieprzerwanymi rzędami ogromnych tafli szklannych i urządzonych za niemi wystaw. Ten strój miasta pomimo swych szychów jest bardzo lichy, ale mniejsza o to, gorzej, że on jest bardzo drogi. Właściciele domów w Warszawie z tą samą energią i odwagą, co mieszkania prywatne, wyśrubowali ceny sklepów — nieraz do bajecznej wysokości. Kto za to płaci? Naturalnie my—spożywcy. Te dwa, trzy lub dziesięć tysięcy rubli, które gospodarz pobiera od kupca, my musimy pokryć zapomocą odpowiedniej podwyżki na cenie towarów. Podwyżka ta wynosi niekiedy 30 i 50%. A ponieważ sklep z okazałą i krzykliwą wystawą hypnotyzuje i przyciąga publiczność, więc wyzyskiwanych nigdy nie brak. I oto w Warszawie mamy coraz bardziej rosnący „podatek pośredni," bardzo wysoki, którego przy rozchodach codziennych nie spostrzegamy, a który w sumie rocznej stanowi poważny haracz. Już jeżeli konieczność ustroju ekonomicznego nie może nas uwolnić od zbytecznego pośrednika między wytwórcą a spożywcą, niechże on przynajmniej nie będzie jednocześnie wyzyskiwaczem naszym na korzyść czwartego — właściciela domu. Może zaś temu zapobiedz tylko sama publiczność, unikając we własnej obronie sklepów z dużemi... szybami.

Pielgrzymka do Rzymu.

Gotowi jesteśmy zgodzić się bez zastrzeżeń, że urządzanie tłumnych wycieczek do Rzymu, z okazyi jubileuszu papieskiego czy innej uroczystości w tym rodzaju, z udziałem wielu setek uczestników, pochodzących przeważnie ze sfer niezamożnych, jest w naszych warunkach zbytkiem kosztownym, na który nas nie stać doprawdy. Skoro jednak pielgrzymka taka została już urządzona, skoro znalazły się tłumy — pobożnych, posłuszne nawoływaniom ks. prałata Smoczyńskiego i jego pomocników i współreżyserów, to nikt chyba zaprzeczyć nie może, iż tym biedakom, oderwanym od ognisk domowych i spieszącym chętnie z pobożnym datkiem za prawo oglądania w Asyżu czaszki św. Agnieszki lub nierozłożonej twarzy św. Klary, należy się w czasie drogi i po przybyciu na miejsce choć trochę opieki. Posłuchajmy tymczasem, co w tym przedmiocie piszą korespondenci takich nawet organów prasy, których o antyklerykalne tendencye posądzić chyba nie można.

„Nieporządek, jaki się dziś przytrafił — skarży się między innymi p. Adam Dobrowolski w *Kuryerze Warszawskim* z d. 29 kwietnia — po przyjeździe pielgrzymki (do Rzymu) zasługuje co najmniej na zaznaczenie. Informator, wydany przez ks. Smoczyńskiego, zawiera zapowiedź, iż wszelkie wymagania pielgrzymów będą załatwiane szybko, ściśle i z uwzględnieniem wygód. Tymczasem pociąg ranny przywiózł 720 pielgrzymów, którzy wręcz nie wiedzieli, co z sobą począć. Chwytano dorożki czy powozy, siadano, pędzono na Via Cola di Rienzi i łapano kilkanaście wolnych pokojów. Gdy jednak część pielgrzymów „wyłapała" te pokoje, reszta osiadła na bruku z rzeczami. Przez pół dnia ludzie szukali mieszkań w Rzymie, zanim przytulili się, gdzie mogli. Odwoływania się rozmaitych osób do ks. Smoczyńskiego pozostały bez skutku."

Korespondent *Gazety Polskiej* zaznacza również, że ubożsi pielgrzymi sami sobie radzić muszą i że nikt się o nich nie troszczy. Wielu z nich uskarżało się przed nim, że nikt im objaśnień nie udziela, nikt nie chroni od wyzysku *Italów*, „którzy gorsi są od Żydów."

I tu więc, jak widzimy, łatwiej zaciągnąć wobec prostaczków zobowiązania, niż je choć w części wykonać, łatwiej karmić naiwnych sianem obietnic, niż się niem potem wykręcać. Czy jednak fakty powyższe, aż nadto wymowne same przez się, będą jaką nauką na przyszłość? Mamy na to, jak sądzę, za krótką pamięć... *B.*

Jubileusz Bełcikowskiego.

Echa krakowskich uroczystości jubileuszowych na cześć czterdziestoletniej pracy naukowej i literackiej Adama Bełcikowskiego przypomniały czytającemu ogółowi imię tego zasłużonego badacza piśmiennictwa. Bełcikowski nie należał do autorów popularnych w zwykłem tego słowa znaczeniu, nie pisał dla tłumu i nie ubiegał się nigdy o jego względy. Chociaż bowiem w jego dorobku literackim widzimy cały szereg tragedyj, dramatów i komedyj, utwory te, niesceniczne i nie dla sceny pisane, nie uczyniły jego nazwiska rozgłośnem i nie zjednały mu oklasków niedzielnych. Lecz najlepsza cząstka twórczości literackiej Bełcikowskiego leży w jego studyach nad historyą piśmiennictwa naszego. Nie był on błyskotliwym syntetykiem, lecz analitykiem wytrwałym, sumiennym i biegłym, oglądał rzeczy bardziej z estetycznego punktu widzenia, niż z historyczno-literackiego; nad efekt stylistyczny przenosił gruntowność i trzeźwość sądów. Stąd prace jego, znane i cenione przez znawców, do szerszych warstw jednakże nie przedostały się nigdy. *g.*

Przypomnienie.

Wobec milczenia prasy, która tylko paru nieśmiałemi wzmiankami omówiła sprawę niezwrócenia dotąd 76 list komitetowi jubileuszowemu Henryka Sienkiewicza; chcemy tu jeszcze raz tę rzecz napiętnować, jako świadczącą o bezprzykładnym cynizmie niektórych sfer publiczności naszej, zarówno jak i o braku odwagi cywilnej samego komitetu, który, zamiast spełnić swój obowiązek, wolał, w celu uniknięcia tak zwanego „skandalu," rzecz całą stłumić i, niepotrzebnie, z własnej kieszeni trochę grosza dołożył, by nie mieć sobie nic do wyrzucenia.

Wiemy, że komitet w bardzo drażliwem był położeniu, że mógł mieć względy rozmaite dla tych, którym zbieranie składek powierzył, że ufał ich honorowi itd., ale to wszystko nic upoważniało go do tej wspaniałomyślności, z jaką winnych potraktował. Wspaniałomyślność w istocie niezwykła wobec osób, które nawet nie raczyły usprawiedliwić się ze swego postępowania, z niemożności zwrotu list z powodu zgubienia itp., lecz wprost odpowiadały: nie zwrócimy — i basta!

Pociągnięcie ich do odpowiedzialności, choćby przez ogłoszenie nazwisk, należało się, jako odszkodowanie, tym wszystkim przynajmniej, którzy listy zwrócili i nie chcieliby być stawiani w masie obok owieczek... niezupełnie czystych. O zadośćuczynieniu domaganiom się moralności szerszego ogółu już nie wspominamy. *wł.*

Uparta rutyna.

W ostatnich dniach kwietnia odbyło się doroczne zgromadzenie członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, które jeszcze raz przekonało optymistów, że instytucya ta, stanąwszy na twardym gruncie przed laty kilkudziesięciu, nie myśli o zmianie tego wygodnego stanowiska i nie zamierza torować sobie dróg nowych w ciężkich warunkach życia współczesnego. Rutyna, rutyna i jeszcze raz bezwładna, skamieniała rutyna. Próżno w te mury zapleśniałe waliły przed kilku laty tarany fachowych wywodów p. Niewiadomskiego, który usiłował wlać świeżą krew w obumarłe ciało; próżno również przed paru tygodniami p. Austen w *Gazecie Polskiej* stawiał o wiele skromniejsze żądania i zapytania pod adresem komitetu — wszystko pozostało po dawnemu. A wysoce charakterystyczne, wykrętne i bałamutne odpowiedzi zarządu na wnioski, które wyszły z łona opozycyi, dowodzą, że o upokorzeniu się przed tem, co się nazywa duchem czasu, mowy nawet niema wśród ludzi, dzierżących ster Towarzystwa. A tymczasem pod pokrywką słów układnych i mniemanych ustępstw dzieją się rzeczy niesłychane. Oto drobny przykład: Jeden z wniosków, przedstawionych komitetowi na ostatniem zgromadzeniu ogólnem, dotyczył wyznaczenia na wystawie należnego stanowiska sztuce stosowanej. W odpowiedzi na to komitet oświadczył, że nie można wprawdzie jednemu działowi sztuki nadawać przywilejów szczególnych ze szkodą innych, ale że dużo już się w tym kierunku robiło (Rzeczywiście!) i jeszcze więcej robić się będzie i właśnie nadesłane na wystawę okazy... Aliści tego samego dnia ukazuje się w *Gazecie Polskiej* list niejakiego p. Damięckiego, stolarza, który nie może wyjść z podziwu, w jaki sposób taka wstrętna tandeta, jak szafy biblioteczne, stół i krzesła, zajmujące jedną z sal wystawy, może znaleźć pomieszczenie w przybytku sztuki. Wyroby takie — mówi p. D. — przynoszą ujmę *stolarstwu swojskiemu*. Stolarstwu? A kierownikom Zachęty? Ci... popierają polską sztukę stosowaną. *h.*

Nerwowość czy brak dojrzałości?

Postanowienia i uchwały, zapadające na ogólnych zebraniach naszych instytucyj finansowych, zawierają nieraz tyle niespodzianek dla widza, niewtajemniczonego w arkana polityki zakulisowej, że mimowoli nasuwa mu się pytanie, co tu odgrywa rolę: nerwowość nasza, czy brak wyrobienia i dojrzałości. Obie te cechy występują zwłaszcza w sposób jaskrawy, gdy w grę wchodzą ambicye osobiste, ujawniające się we wszelkiego rodzaju wyborach do różnych zarządów, rad, komisyj rewizyjnych itp., dających często najmniej spodziewane wyniki.

Że w Radomiu uczestnicy Tow. wzajemnego kredytu, w znacznej większości Żydzi, usunęli na ogólnem zebraniu kilku członków rady i zarządu, którzy dotąd dla instytucyi tej pracowali sumiennie i pożytecznie — to jeszcze, choć dziwne dosyć, wytłomaczyć sobie można znaną semicką solidarnością rasową: poczuwszy się w więk-

szości, zapragnęli mieć „swoich“ u steru, a tamci —niech sobie idą. Jakie jednak pobudki odgrywały rolę w postanowieniach uczestników pierwszego Warsz. Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego, którzy, na ogólnem zebraniu, zatwierdziwszy sprawozdanie zarządu z działalności Towarzystwa w roku ubiegłym i przyjąwszy oklaskami wnioski komisyi rewizyjnej, wyrażające uznanie dla pożytecznej pracy tegoż zarządu, bezpośrednio potem zarząd cały usunęli— tego już przy pomocy zwykłych sposobów logicznego myślenia zrozumieć niepodobna, trzebaby sięgnąć za kulisy jednostkowych ambicyj i niezaspokojonych pragnień, obojętnych zresztą dla szerszego ogółu i niemających zapewne na celu istotnego dobra Towarzystwa.

Tragikomedya nie zakończyła się jeszcze, gdyż — jak donosi *Kuryer Codzienny* — dotychczasowy zarząd oświadczył, że z zajmowanego stanowiska, pomimo nieprzychylnych dla niego wyborów, nie ustąpi, lecz odwoła się do nadzwyczajnego zebrania. A potem? *b.*

„Kuryer Teatralny.“

Nareszcie artyści teatrów naszych doczekali się pisma, jakiego im brakowało. Jest niem *Kuryer Teatralny*, poświęcony „sprawom teatru i muzyki.“ Właściwie jest to pisemko, poświęcone obronie „interesów“ artystów naszych, jak wiadomo rodzaju najbardziej uciśnionego pod słońcem. *Kuryer Teatralny* broniąc ich, posuwa gorliwość swoją do tragizmu — operetkowego... Prawie co numer znajdujemy tam namaszczone filipiki, przeciwko wszelkim krzywdzicielom artystów. Ekstatyczny obrońca jest tak rozkochany w ludziach i sprawach teatru naszego, że gniewa go bodaj najłagodniejsza krytyka jednych i drugich. W szystko tu, w oczach rozromansowanego *Kuryera*, jest doskonałe, uroczе, znakomite, godne uznania. Dość więc lekkiego zastrzeżenia w tej mierze, żeby wywołać orgię płytkiego krasomówstwa w obronie „pokrzywdzonych artystów.“ A ponieważ wszelkim pokrzywdzonym słusznie się należy odszkodowanie, czuły obrońca, nie ufając nikomu, sam się tem zajmuje. Pod tym względem jest on, istotnie niedościgniony. Chwała nieśmiertelnych bóstw Olimpu niczem była w porównaniu z chwałą artystów (i reżyserów także), opiewanych przez *Kuryer*. Tak to wszystko wygląda uroczo i podniośle, że na chwilę zapomnieć można o sprawach poziomych, o interesie... Niechno jednak przyjedzie A. Bandrowski, Siemaszkowa, albo ktoś podobny, nie zasiadający wśród bóstw Olimpu miejscowego, wnet mrok zniknie, kadzidła gdzieś się rozwieją, a wystąpi naprzód obrona interesów „pokrzywdzonych“ artystów naszych. *W.*

Fejletonista w samotrzasku.

P. Maryan Gawalewicz, przypominający się stale czytelnikom *Kuryera Warszawskiego* fejletonami swymi, ostatni z nich zapełnił tkliwą jeremiadą w przedmiocie skażenia mowy ojczystej. „Gdzie się podziała owa klasyczna polszczyzna, którą celowali nasi dawniejsi pisarze, którą mówili nasi dziadowie!.. A przecież znać swój język gruntownie, to jeden z najświętszych obowiązków człowieka i narodu oświeconego“ itd. itd. Ależ tak!.. po tysiąc razy tak! I dlatego właśnie — spieszymy ofiarować czytelnikom skromną wiązankę kwiatuszków, uszczkniętych na grządkach— tego samego fejletonu. Oto jakie zwroty spotykamy między innymi u naszego gorliwego purysty: 1) „Wianeczek *założyć* (chyba włożyć czy nałożyć) na głowę, korale na szyję“; 2) „uszy *więdną* (po polsku mowi się: uszy bolą lub puchną); 3) „numer pisma *zakreślony* (czy nie lepiej: pokreślony?) poprawkami stylowemi“; 4) „*dostarczono* mi kilka listów“ (dostarcza się towaru, a list się doręcza); 5) „zamiłowanie *dla* naszej literatury“ (mówi się: zamiłowanie do (nie dla) kart, a „umiłowanie literatury“); 6) „ukazują się książki, *których* (chyba: które) nie tak łatwo zdmuchnąć“; 7) „*łatwiej przystępny* (czemu nie przystępniejszy?); wreszcie—8) pisownia wyrazu „puchacz“ przez *ch*. Na razie — tyle tylko.

Jak widzimy, p. Gawalewicz złapał się we własne żelaza. Możnaby więc służyć mu radą: „Mistrzu, zaczynaj od siebie!“

BADANIA NAUKOWE.

BIOLOGIA.

— Dr. Antoni Złotnicki: *Z zagadnień życia*. Szkice z zakresu biologii. Warszawa 1902 r. Str. 108.

W książce swojej, pod wiele obiecującym tytułem, p. Złotnicki dał czytelnikom luźny dosyć zlepek poglądów na rozmaite kwestye z dziedziny zjawisk biologicznych. Wykład przedmiotu, niezawsze i niewszędzie jasny, jakby tego należało oczekiwać od wydawnictwa o charakterze popularnym.

Wśród szerszego ogółu naszego coraz silniej przejawia się dążność do poznania praw natury; należy korzystać z tego usposobienia i dawać mu pokarm, o ile można przetrawiony i pozbawiony wszystkiego, coby mogło utrudnić zrozumienie spraw rozstrzyganych. Autor przeplata niekiedy rozprawy naukowe wiadomościami anegdotycznemi, czerpanemi najwidoczniej ze źródeł, poddanych niezbyt surowej krytyce i posiadających wskutek tego wątpliwą wartość. W rozdziale szóstym np., zatytułowanym: „Zawieszanie się życia,“ p. Zł., podając przykłady powstrzymywania się istot żyjących od pokarmów przez dłuższy przeciąg czasu, przytacza nazwisko czterdziestoletniej kobiety, „która od lat 20 nic nie je, pomimo iż gotuje jedzenie dla całej rodziny.“ Ktoś inny jakoby nie jadł w ciągu 18 lat, a nawet znalazła się niewiasta, która potrafiła powstrzymać się od jedzenia w ciągu 50 lat! Zastrzega się wprawdzie autor, że „wypadki te tchną przesadą“ —lecz po co w takim razie o nich wspominać?

W rozdziale pierwszym, p. t. „Istota życia,“ znajdujemy opis metody badań zjawisk życiowych, oraz wzmiankę o hypotetycznej budowie najdrobniejszych pierwiastków organizmu; rozdział zakończony jest wyrazem żalu, że badania nad komórką nie doprowadziły do rozwiązania zagadnienia, które już od kilku wieków stanowi dla jednostek myślących przedmiot udręczenia. Współczujemy najzupełniej autorowi, nie możemy jednak pogodzić się z jego brakiem zaufania do przyszłych wyników badań nad protoplazmą. Wielka bowiem tkwi prawda w twierdzeniu pewnego botanika-fizyologa, że „życie nie będzie miało dla nas tajemnic od chwili, kiedy zbadamy istotę komórki“—a więc owej nic niewyjaśniającej protoplazmy“ (str. 9), wypełniającej komórkę i warunkującej jej życie wraz z najważniejszem prawdopodobnie jądrem. Botanikowi również może wydać się herezyą pogląd autora, że „kwestya życia została rozwiązana, jeżeli w roślinie żyjącej chodzi tylko o ruchy atomów, o prawa ich przyciągania itd. i dalej, że „rośliny są *tylko* fabrykami chemicznemi, przetwarzającemi w swoich laboratoryach-komórkach proste materye...“ „ponieważ można powiedzieć, że niema żadnej substancyi, której prędzej czy później nie będzie można otrzymać drogą syntetyczną.“ Ależ rośliny dają zbyt wiele dowodów, iż są istotami żyjącemi, o przejawach życiowych często bardzo wyraźnych, i sprowadzanie czynności ich do zjawisk mechanicznych jest tylko wywołane dążnością do określenia matematycznej niemal prawidłowości funkcyj życiowych. Nie możemy tu nie wspomnieć o błędnem twierdzeniu autora, że hypoteza siły życiowej została porzucona przez badaczów i że *zastąpiono* ją przez przez prawa fizykochemiczne, rządzące wogóle materyą.

W rozdziale drugim, p. t. „Rozwój życia w przyrodzie,“ spotykamy się z ciekawą, chociaż niezbyt popularnie wyłożoną teoryą rozwoju i powstawania gatunków. Autor przecenia zasługi dziada Karola Darwina, którego prace miały jakoby wywrzeć duży wpływ na genialną teoryę jego wnuka.

W rozdziale trzecim: „Długość życia ludzkiego,“ dane statystyczne, przytoczone przez autora, mają dowieść, że człowiek może dożyć do lat 200 lub nawet 300; następnie podane są różne środki, do których uciekano się w celu przedłużenia życia jednostki. Największą przyszłość, podług p. Zł., ma eliksir życiowy Brown-Séquarda, którego najważniejszą częścią składową jest, jak wiadomo, nasienie młodych zwierząt.

W rozdziale piątym, p. t. „Rozrost życia,“ podaje autor ciekawe szczegóły o stosunku, zachodzącym między płodnością a szczeblem, na którym stoi dany osobnik w hierarchii zoologicznej, między płodnością a inteligencyą itd.

Zbyt bezwzględnem i stronnem wydaje nam się jednak twierdzenie, że zmniejszenie się płodności jest oznaką doskonalenia się gatunku, rasy, narodu, społeczeństwa. Zmniejszenie się płodności we Francyi nie idzie bynajmniej w parze z doskonaleniem się społeczeństwa.

J. M.

LITERATURA I SZTUKA.

MARYA KONOPNICKA.

I.

Chciałbym przedewszystkiem poodlepiać etykiety, jakiemi poobwieszano twórczość Maryi Konopnickiej.

Już to wogóle mamy pociąg do etykietowania. Wiktuały i towary ducha jedną miarą lubimy umieszczać w szufladach. A potem jesteśmy święcie przekonani i dumni, iż zasób naszych dóbr powiększyliśmy o jeden przedmiot, gdy w istocie świadomość naszą tylko wzmogliśmy o jedną — etykietę.

A kiedy zapytamy sterników naszej nawy duchowej, dlaczego właściwie odgrywają świadomie rolę pieczętarzy talentów, odpowiadają: „Dla lepszej oryentacyi ogółu...“

Dla lepszej oryentacyi ogółu odwraca się uwagę od treści, istoty, wnętrza, a krzykliwie reklamuje — etykietę.

Poeta, dramaturg, powieściopisarz, krytyk, dowiaduje się pewnego razu ku największemu swemu zdumieniu, kim właściwie jest. Otóż „znakomity nasz“ profesor, doktór lub tylko pan X. ochrzcił go mianem romantyka, albo pozytywisty, albo społecznika, idealisty, dekadenta — i tem samem przytwierdził mu raz na zawsze (z małymi wyjątkami)... dla lepszej oryentacyi ogółu... etykietę.

Choćby potem stosunek uległ gruntownej zmianie, twórczość danej jednostki, wskutek przypływu nowych pierwiastków, w inną zupełnie skierowała się stronę —

przepadło! Ogół oryentuje się wedle raz przytwierdzonej etykiety!

Maryi Konopnickiej nieszczęśliwym trafem dostała się etykieta epigona romantyzmu.

Biorąc asumpt z pierwszego z brzegu wiersza Konopnickiej, umieszczonego na czele pierwszego jej tomu, a zaczynającego się od słów: „Za ostatnim poetą zamknęła się brama" — poczęli pieczętarze wywodzić, jak to słońce niesfałszowanego romantyzmu już swoją drogę dzienną przebiegło, a ostatnie jego promienie przestały oblewać purpurą polskie niwy. Nastał — mówili — mrok szary, który trwożył lękliwe rzesze spóźnionych uczniów wielkich romantyków. Nie umieli i nie mogli w ciemnościach i lodowem zimnie szukać dróg nowych...

Ciemność więc i zimno nastały po wiośnie, lecie i jesieni romantyzmu. Lecz z końcem zimy wyłoniły się nowe motyle i wyfrunęły w boży świat... A komu pozwolonem było oglądać przestwór w dnie owej wiochny, ten spotkał się z — epigonami romantyzmu.

W każdym motylku, który wówczas wyfrunął, dopatrzono się zadziwiającego podobieństwa z zeszłorocznymi motylami — epigonów z romantykami. Każdego witano radosnym okrzykiem.

Tak też obwołano Maryę Konopnicką epigonem.

Ogół wkrótce się zoryentował i po dziś dzień przysięga *in verba magistri*.

Cóż go tam obchodzi, że twórczość Konopnickiej w ciągu ćwierćwiecza przechodziła różne formy rozwojowe, że potężniała i przeradzała się stale, że nawet w swych zaczątkach nie była wcale epigonistyczną, że jest tak dalece samodzielną i niezależną, iż niepodobna jej oprzeć nawet o tak przednie podścielisko, jak romantyzm; że jest nawskróś modernistyczną, o ile przez modernizm zrozumiemy zastosowalność ducha danego czasu i jego fluktuacyi w twórczości artystycznej — przepadło! U większości wciąż jeszcze etykieta „poromantyzmu" przebłyskuje złośliwie nad szufladkami mózgowemi, w których jest zamieszczony przedmiot — „Konopnicka."

Oczywista, że fakt ten oddziałać musiał wielce ujemnie na dalszy stosunek Maryi Konopnickiej do czytającej publiczności. Daltonizm na inne barwy, lśniące na jej palecie twórczej, spowodował, że ta znakomita ta poetka nie zdołała wypłynąć na tak szeroki widnokrąg, na jakim znajdować się była powinna. Była jakoby słońce w pełni, ale przysłonięte chmurami i stąd mało dostrzegalne. Że tam jeden lub drugi wiersz jej deklamowano na wieczorkach, jeden lub drugi tom leżał na biurkach salonów, jeden, drugi lub nawet setny wielbiciel stawiał poetkę na wielkim ołtarzu swego sanktuaryum—to nie ma nic do rzeczy. Faktem jest, że Marya Konopnicka była niedocenioną. Gdy w ciągu jej pracy twórczej wielu poetów pomniejszych—niejeden dziś już usunięty w mroki przestarzałości—wynoszono jako pierwszorzędne gwiazdy pod niebiosa, Konopnicka uchodziła za „bezsprzeczny" talent, najdzielniejszy z plejady epigonów romantyzmu — i nic więcej.

Gromadziło się w duszy poetki natchnienie i spływało w tomy, wzmagała się wciąż moc twórcza jej geniuszu, przybywały nowe dźwięki: smutek ustępował hymnom radości, pesymistyczne zawodzenie optymistycznym, nadzieją tchnącym hasłom — a ona wciąż była tylko „bezsprzecznym" talentem...

Przenikały dzieło jej wciąż nowe, w tony aktualności wnikające, myśli: rozszerzał się kąt widzenia na stanowisko kobiety, dolę i niedolę ludu itd., a mimo to ogół odnosił ją w dalszym ciągu do minionej epoki, chociaż przyznawał talent...

Uświadamiały się w jej umyśle i przecudownie krystalizowały prądy, dawno już zaschłe i dopiero co nurtować poczynające: powstawały bajecznie piękne karty, na których Konopnicka przetopiła w złoto słów szlaki, którymi kroczyła na drogach duszy zarówno papieża Juliusza II, rycerskiego Zbyszka, jak i florentczyka Klaczki i epika Sienkiewicza — a ogół wciąż ją wcielał w ramy epigonizmu „szkoły."

Dziś, kiedy nam wypada rzucić okiem na twórczaść Konopnickiej i objąć jej dotychczasowy całokształt, trzeba przedewszystkiem zapomnieć o znakach, godłach i etykietach, jakie poetce przydano, i uświadomić sobie, jakiego to rodzaju i w jakich przejawach dochodziły nas skarby jej natchnień.

Mniejsza o nazwę, o formę, bylebyśmy tylko wiedzieli, czem jest istotna twórczość poetki, na jakich się czynnikach psychologicznych opiera i jak na zewnątrz promieniuje.

* * *

Razu pewnego — głosi przypowieść wschodnia—zeszli się poeta i filozof.

Poeta rzecze:

— To, co ja widzę, ty wiesz.

A filozof na to:

— To, co ja wiem, ty widzisz.

Przypowieść ta ściśle odgranicza dziedzinę poezyi i myśli. Poezya—to widzenie; filozofia—to wiedza, na rozumie oparta.

Te same dwa symbole wprowadza Konopnicka w szereg utworów.

Jak one tu wyglądają? Po czyjej stronie wyższość?

Konopnicka przyznaje ją myślicielowi.

Wielkim — powiada — jest poeta, lecz większym myśliciel. Dlaczego? Bo swych wnętrznych podnieceń nie stroi umyślnie w szaty, świetnością formy lśniące, bo czynności tej nie poświęca części swego wysiłku twórczego, bo ostatecznym celem jego myśli nie jest poklask tłumu, bo nie ma potrzeby sprzedawania krwi swej serdecznej, tryskającej ze zbolałego serca. Myśl badacza to drżąca struna, rozpięta między przyrodą a duchem." Tu teren zupełnie zharmonizowany: nie grzmi tu orkan namiętności, nie toczy się przyziemna walka potrzeb i wymagań człowieczych, nie razi dysonans między ciałem a duszą, marzeniem a rzeczywistością, wizyą ideału a jego wykonalnością — droga myśliciela zmierza wprost ku słońcu, ku przyszłości...

> Poeta daje brylanty i kwiaty,
> Łzy i uśmiechy rozrzuca ludzkości...
> Ale myśliciel odkrywa jej światy
> I nowe drogi przyszłości.
> Z poetą serce nasze się sprzymierza,
> Nasze zachwyty i nasze boleści:
> Ale myśliciel nigdy nas nie pieści,
> Lecz jak konieczność uderza...
> Poetów miały ludy już gasnące,
> Co w lutnię tchnienie ostatnie przelały;
> Lecz myślicieli rodzi nowe słońce
> I pełne sił idealy.
> Poeta wschodzi, jak kwiat, który sieje
> Wiosenny ranek na łące, nad strugą...
> Ale myśliciel jest krwawą dosługą
> Narodu, co tka swe dzieje...

To jest zasadniczy motyw w poezyi Konopnickiej.

Chwila obecna, to — wedle Konopnickiej — nie jest moment nastrojowy dla poety, nie „widmo blade, stojące wśród zmierzchów bez końca..." — nie.

> To duch badań, który myśliciela
> Czyni potężnym zwycięzcą przyrody,
> I wielkie prawdy zdobywa.

Parcie naprzód, dążenie ku uświadomieniu sobie przyszłości, gorączkowa, instynktowna i wewnętrzną mocą powodowana praca myślowa w celu zdarcia przesłony, za którą kryje się to, co ma nastąpić, jest u Konopnickiej rozsadnikiem bólu, lecz zarazem wiecznym motorem, wytwarzającym ewolucyę twórczą.

Poprzez ból i mękę tworzenia przedrzeć się trzeba w krainę przyszłości. „O! któż mi to powie?.." — woła poetka.

> Byt wiekuisty zamkniony w mdłem słowie...
> Otchłań—w koronie wszechmocy...
> Cień, majaczący kształtami olbrzyma,
> Co mnie porywa i więzi i trzyma,
> Drżącą...

Tymi więzami niemocy człowieczej spętana, z wizyą wyolbrzymiałych kształtów przyszłych w świadomości, wznosi się dusza twórcy hen po za kresy, dostrzegalne okiem fizycznem.

> W ucisku ducha słyszę, jak nad głową
> Przepaście toczą skałę syzyfową
> Wiecznych zagadnień istnienia...

Wtedy poeta przeobraża się w wieszcza. Jego słowo nie jest już ucieleśnieniem chwili, stanu indywidualnego, psychy samego twórcy — wtedy streszcza w sobie bezmiary, a symbolizuje wieki.

Konopnicka taką drogę myśli wskazuje poetom:

> . . . zaprawdę mówię wam,
> Wy znajdźcie ton, co tętnem jest stuleci!

W tem oddziaływaniu zbiega się poezya i filozofia. Tu tkwi najwyższa ich synteza.

Módl się, narodzie — powiada Konopnicka —

> Niechaj pieśń wielka poi cię w pragnieniu,
> A myśl niech karmi cię w głodzie!

A wtedy rozstępują się odrzwia, odmykają wrzeciądze, człowiekowi danem jest wówczas przestąpić progi przyszłości, tej, co to jest jakoby

> . . . jutrznia zróżowiona,
> Świt błękitny, świt daleki,
> Do którego wszystkie wieki
> Wyciągają swe ramiona;
> Czyn zwinięty, jak w zawiązku,
> W tajemniczym myśli kwiecie.

O ten „tajemniczy kwiat myśli," wyrastający na wyśnionej niwie przyszłości — chodzi nam właśnie.

Tu zbiega się twórczość Konopnickiej, tu się kondensuje, tu jej jądro.

Wszelki czynnik późniejszy w poezyi Konopnickiej, to już tylko konsekwencya tej pierwiastkowej zasady, gałąź wyrastająca z pnia, a czerpiąca zeń soki.

(C. d. n.)

Bertold Merwin.

Stan obecny literatury francuskiej.

(Dokończenie).

W wyrazach pełnych komicznego szacunku szydzi p. Ernst-Charles ze „smutnej i słodkiej, czułej i uskarżającej się duszy Sully-Prudhomme'a, lamentującego rozkosznie i głęboko z powodu cierpień przeciętnych"; z mniejszym szacunkiem odzywa się o egzotycznej duszy Loti'ego, który stroi ją w jaskrawe kostyumy wschodu, jakby umyślnie dla handlarzy paryskich; i jeszcze raz, już zupełnie bez szacunku, drwi z Bourgeta, tego „psychologa," mającego pretensye do wszechwiedzy i rozumienia wszystkiego, a mimo to wciąż pełnego zdumienia i ciężkiego entuzjazmu.

J. K. Huysmans jest, podług autora, wielkim pisarzem dlatego, że miał kłopoty pieniężne i... gastryczne; z tych ostatnich, wyprowadzone zostały wszelkie mistyczne i mistyfikacyjne osobliwości utworów autora *A Rebours*.

A. France jest scharakteryzowany, jako artysta subtelny i ograniczony zarazem, który nie wywiera na nikogo wpływów głębokich, każdy bowiem, kto go naśladu-

je, natychmiast zostaje dotknięty bezpłodnością.

Dzieła J. H. Rosny'ch, są jak warsztaty i rusztowania przedsiebiorcy od burzenia starych domów... O. Mirbeau robi tylko dużo hałasu, jako nieustannie oburzony mściciel wszelkich niesprawiedliwości, nie budzi wszakże zaufania i niema powagi, gdyż wciąż poluje na efekty i przestarzałymi sposobami pragnie zadziwiać pospólstwo.

Z dobrze maskowaną wzgardą i silnem przekonaniem o nikłości wysiłków twórczych, traktuje P. Hervieu, M. Prevost'a, H. Lavendan'a i innych tego rodzaju pisarzy „dla świata" i na temat życia w t. zw. świecie — dostarczycieli wszelkich błahostek i sensacyj, niezwykle poszukiwanych na prowincyi.

Naznacza, niby żelazem rozpalonem, karjerowiczostwo niespokojne M. Barrèsa, tego młodzieńca z prowincyi, który pragnął zawojować miasto i stać się panem swego czasu.

J. Lemaître'a przedstawia, jako umysł rdzennie prowincyonalny i doktrynerski, pomimo osłonek jak najbardziej paryskich i wszelkich wdzięków oraz elastyczności sceptycyzmu. Zresztą nic ma mu za złe, że umiał być modernistą, tradycyonalistą i prawym Francuzem w jednej osobie, chociaż było to nieraz igraszką myśli. Ma dużo uznania dla nieposzlakowanego artyzmu J. M. de Heredia i widzi w nim twórcę, który w najniekorzystniejszych warunkach potrafił być wyłącznie poetą. Ed. Rod'a pobłażliwie i sarkastycznie nazywa „powieściopisarzem łagodnie rezonującym, moralizatorem spokojnym, autorem cierpliwym i grzecznym..." W. Sardou mieni „znakomitym handlarzem literatury, przemysłowcem pełnym chwały" i wyraża mu wdzięczność patryotyczną za fabrykowanie wyrobów najbardziej swojskich...

Dla E. Faguet'a ma słowa uwielbienia, przyznaje mu zdumiewającą łatwość poruszania się wśród literatury, filozofii, polityki, socyologii i podnosi jego dumną niezależność. Brunetière'a również bardzo ceni, nietyle jako myśliciela oryginalnego, gdyż nim nie jest, lecz jako osobistość silną, energicznie myślącą i, w swych podstawach moralnych, niewzruszoną. Podobnež przymioty odnajduje w innym krytyku, R. Doumic'u. Ten rodzaj pisarzy ceni widocznie najbardziej, jest bowiem zdania, że obecnie nie tyle oddziaływać mogą na ludzi idee, o które zresztą nie tak łatwo w czasach, kiedy prawie wszystkie są w obiegu, ile przykład mocy intelektualnej i moralnej.

E. Rostand także zasłużył sobie na względy surowego krytyka, jako jeden z autorów dobrej woli, wielbiących heroizm wesoły i miłość nieświatową.

Z takich zwięzłych i żywo zarysowanych portretów składa się cała ta galerya pisarzy Francyi współczesnej, galerya śmiało oświetlona i zbytnio oczyszczona z wszelkich okazów rzadszych lub mniej popularnych. W końcu pracy swojej mówi autor o „literaturze jutra"—o tem, jak się zapowiada przyszłość.

Na tem miejscu krytyk wspomina o kilku głośniejszych autorach z ostatniego pokolenia pisarzy francuskich (poprzednio uwzględniony został tylko „dystyngowany"—ale i bardzo zdolny—poeta H. de Régnier), na których wszakże nie zbyt liczy, gdyż bardziej reprezentują literaturę „wczorajszą" niż „jutrzejszą." Ani P. Adam, powieściopisarz bardzo płodny, chaotyczny i z zacięciem epickiem, ani Réné Bazin, jeden z najzdolniejszych powieściopisarzy „literatury akademickiej" (nagradzanej przez Akademię); ani J. Moréas, który z symbolisty stał się prawdziwym klasykiem, ani dramatopisarze w guście Brieux, M. Donnay, F. de Curel, A. Hermant, ani inni mniej głośni autorowie nie potrafią odrodzić zakrzepłej twórczości, reputacye ich bowiem są ustalone, dzieło dokonane.

W młodem pokoleniu nie znalazł się nikt, ktoby potrafił narzucić się ogółowi pisarzy i na modłę swoją ich przerobić. Pojawiały się talenty, błyszczały chwilę, lecz prędko gasły i ustępowały. Powieść nie odnawia się, poezya zaledwie żyje, gdyż epoka nasza nie sprzyja jej rozwojowi, teatr—powtarza się. Te główne rodzaje literatury tracą wciąż na swojej wartości i wkrótce staną się rodzajami dodatkowymi. Ponieważ młode, literaturę wyobraźni reprezentujące pokolenie zawiodło i nic w tym kierunku potężnego nie stworzyło, otwiera się przeto miejsce wolne dla literatury ideowej. Autor mniema, że od filozofii, historyi i krytyki, która staje się coraz mniej literacką i oddaje się sprawom moralnym i społecznym, można oczekiwać odnowienia literatury; że się one sprzymierzą celem wytworzenia mocnej dyscypliny umysłowej i moralnej i pokierują twórczością przyszłą.

Mniejsza o przepowiednie autora, tembardziej, że gdy chodzi o literaturę najczęściej one zawodzą. Zwróćmy się więc do teraźniejszości. W tym pesymistycznym poglądzie na stan dzisiejszej literatury we Francyi jest sporo prawdy; w charakterystyce poszczególnych autorów, aczkolwiek nazbyt osobistej i gwałtownie załatwiającej wszelkie niechęci i antypatye — jest jej również sporo. Stanowisko natomiast, z jakiego autor rozważa literaturę swego kraju, jest niezupełnie słuszne. Stoi on właściwie po za literaturą i dlatego nie uwzględnia jej interesów specyalnych. Stąd też nie dba o literaturę wyobraźni i pragnie ją zastąpić literaturą idei, jakby pierwsza nie była od wieków potężnym czynnikiem w ich rozpowszechnianiu. Dlatego również uważa wysiłek twórczy ostatniego pokolenia za jałowy, bezowocny. Gdybyż wydało ono choć jedną potężną indywidualność, narzucającą się wszystkim — honor jego byłby uratowany! Jednostki takiej nie było — dlatego literatura owego pokolenia nic nie jest warta... Ależ historykowi literatury nie powinno chodzić o to, kto co zrobił, ale czy coś dokonanem zostało? Otóż to jałowe skądinąd pokolenie pisarzy w obrębie samej literatury dokonało paru ważnych zmian, wysiłek jego nie był bezowocny. Naprzód okiełznało rozpęd naturalizmu powierzchownego i wyłącznie sensacyjnego, następnie odrodziło twórczość poetycką, zakrzepłą w zimnych kształtach, narzuconych jej przez szkołę Parnasu. Nie zrobiła wprawdzie tego jakaś genialna jednostka, lecz gromada mniej lub więcej utalentowanych poetów, co wszakże samego faktu dokonanej reformy nie zmienia. Zbyt uwłaczającem jest, między innemi, dla literatury francuskiej wysunięcie na pierwszy plan w szeregu czynników postaci Gyp'a. Ależ rozmaici pisarze „światowi" (Prevost, Lavedan, Hermant itp.), których jest tak wielu, daliby sobie radę bez oddziaływania tej eleganckiej hrabiny *genre canaille*... Zresztą podobny rodzaj twórczości leży w tradycyach całej najświetniejszej literatury francuskiej.

Natomiast bez wpływów szczerej i oryginalnej liryki P. Verlaine'a, o którego oddziaływaniu nic nie chce wiedzieć krytyk, nie bardzo świetnieby wyglądała najnowsza poezya francuska.

Dalej, nietylko jeden Zola narzucił się swoim współczesnym, podlegali oni bowiem w niemniejszym stopniu takim naturalistom, jak Flaubert, Maupassant, bracia Goncourt'owie, a nawet jak F. Fabre; ci zmarli dotychczas jeszcze działają na współczesnych.

Lekceważeni przez krytyka pisarze ostatniego pokolenia zasługują jednakże na szacunek choćby z tego względu, że w chwili, kiedy w literaturze zapanował nędzny przemysł, oni stali zdala od frymarku, kupczenia i prostytucyi ducha, w zaciszu sztuki doskonalili jej narzędzie i tęsknili do ideału. To zaś, że nie wydali żadnej dominującej nad swoją epoką postaci, nie może kwestyonować ich wartości — oni bowiem sami zazdrośni byli o własną niezależność, w niczyją niewolę iść nie chcieli i tem, między innemi, tłomaczy się charakter twórczości współczesnej, w której dużo jest indywidualności niezależnych, istniejących bez wodza.

Wł. Jabłonowski.

LOSY SZTUKI.

Jest to prawdziwym zaszczytem rozpoczynać przegląd wystaw warszawskich od imienia tak potężnego, jak Rembrandt. Wielki mistrz holenderski, jako akwaforcista, znalazł się w Zachęcie, dzięki p. Feliksowi Jasieńskiemu, który urządził tam dwie wystawy swych obfitych zbiorów artystycznych: Rembrandtowską i sztuki polskiej. Pierwsza z nich zawiera rzadki zbiór Lipmana znakomitych reprodukcyj i akwafort mistrza, nic różniących się prawie niczem od oryginałów; druga jest bogatym zbiorem obrazów, szkiców, autoreprodukcyj itp. najlepszych artystów polskich. W pierwszej występuje Rembrandt cały, potężny, bezgranicznie indywidualny. W akwafortach przejawia się jego olbrzymia rzutkość w motywach i technice: od najsubtelniejszego krajobrazu, znaczonego szeroko, ale obejmującego wszystko, od zwięzłej, w paru plamach wspaniale położonych zawartej kompozycyi syntetycznej aż do najmozolniejszych studyów analitycznych; każdy motyw znajduje w nim pełnego swobody i przekonania o swych siłach wykonawcę do każdego umie on zastosować najzupełniej nową i najbardziej zespoloną z przedmiotem przedstawianym technikę. Jako akwaforcista, niezrównany jest i samotny, dzisiejsi władcy rylca poszli zupełnie innemi drogami (Rops, Klinger): z techniką, która im do gustu przypadła, spłatali ideę, dla niej poświęcając inne względy.

Rembrandt w każdej akwaforcie jest przedewszystkiem malarzem i cokolwiekbądź tworzy — tworzy po malarsku, pełne koloru, indywidualnego układu i światła, tego światła, którego zdawał się być magiem. Wystawa Rembrandtowska odtwarza nam całą działalność mistrza, dając jednocześnie pierwowzór idealnej akwaforty, jako rysunku, który chociaż bezbarwny, może być jednak bardzo kolorowym przez ustosunkowanie wzajemne tonów i świateł.

W drugiej części wystawy, poświęconej sztuce polskiej, oglądamy dzieła skończone i szkice takich artystów, jak: Podkowiński, Chełmoński, Wyczółkowski, Malczewski, Laszczka, Krzyżanowski, Stanisławski, Gierymski i Wyspiański. Jest to rzeczywiście czoło sztuki polskiej, i oko doznaje tu prawdziwej rozkoszy. Jest tu i „Szał," najlepsze dzieło Podkowińskiego, znakomity portret i drobne studya. Leon Wyczółkowski występuje podwójnie: jako malarz i rzeźbiarz. Pierwszy daje przepyszny portret p. Jasieńskiego, który, jako doskonale ułożona kompozycya, może zająć pierwsze miejsce w dotychczasowej działalności artysty. Portretowany siedzi przy fisharmonii i gra, ale jak gra! Tony *płyną* przez to płótno wielkie, spokojne a silne kolorem, bogactwem plamy i układem. Fantastyczne postacie na fresku zdają się rytmicznie nachylać nad grającym, słuchając jego muzyki. Zestawienie człowieka z instrumentem, z którego indywidualnością swą wydobywa tony, jest tak jednolite, tak *nadzwyczajnie ujęte*, że zdaje się

tworzyć jedną nierozłączną, ogromnie logiczną sylwetę. Liczne studya, portrety, pełne temperamentu rysunki ołówkiem dopełniają wielce zajmującego wyboru prac tego artysty. Z rzeźb widzimy tu motyw do „sarkofagów“ i „główkę“ wieśniaczki, oryginalnie pojętą. Inni artyści mają tu również doskonałe studya i szkice, właściwe talentowi każdego. Tu także po raz pierwszy w Warszawie występują „młodzi,“ a już bardzo silni: Weiss (plakat), Procajłowicz (prześliczny krajobraz), Józef Czajkowski (plakat), Bukowski (plakat) i Noskowski, artysta, który z krajobrazu robi poemat. Te, które znajdują się na wystawie, są tak drobniutkie, jak miniatury, a każdy z nich jest syntezą pewnego momentu w naturze: *tak, jak się przesączył* przez czującą duszę artysty.

Sporo miejsca zajmują na wstępie próby akwafort i autolitografij artystów polskich. Jest to dział sztuki, pozostającej u nas jeszcze jakby w uśpieniu, z którego zresztą budzić się już poczynamy. Ma on przed sobą niewątpliwie przyszłość ogromną.

Na wystawie p. Jasieńskiego są bardzo dobre prace dwóch prawie nieznanych Warszawie a bardzo poważnych artystów: Pstrokońskiego i Jabłczyńskiego. Pierwszy dał liczne studya i portrety, drugi bardzo dobre płótno p. n. „Demon.“ Karol Tichy wystawił wyborną „główkę dziecka,“ zaledwie znaczoną pastelem.

Salę boczną po Pankiewiczu odziedziczył Masłowski. Gdyby artystom można nadawać przydomki, Masłowskiego nazwalibyśmy Kapryśnym. Po niesłychanym spokoju i równowadze Pankiewicza, który tu gościł do niedawna, Masłowski wywiera wrażenie talentu mocnego, swojskiego, niesłychanie upartego, kochającego się w barwach, a nie w kolorze, czyli tonacyi. Nie stworzył on jeszcze dzieła, w któremby się wypowiedział zupełnie, bo za takie nie można uznać dużego obrazu „Spór o granicę,“ gdzie po za ugrupowaniem, jakby umyślnie przenaiwnionem, po za charakterystyką postaci chłopskich, jest „barwienie,“ mające zastąpić kolor, połączone z tak konwencyonalnem wyjściem z krajobrazu i uogólnień całości, że obraz za dzieło dociągnięte uchodzić nie może. Obraz jest, jak i sam malarz, „kapryśny.“ Emaliowane jaskrawo i „palące się“ ubiory włościan nie są wcale kolorowe i nie wibrują w powietrzu, którego tam niema, lecz świecą w słońcu, którego również niema. Wszystko na obrazie mazane jest jakby umyślnie, jak najnaiwniej, „na złość,“ a u spodu widzimy rzecz wyborną: dwa bajecznie namalowane psy. Masłowski jest obserwatorem nawskróś indywidualnym, daje tego liczne dowody w studyach i szkicach, rozmieszczonych na wystawie; rysuje dobrze i logicznie, lecz z kolorem jest jeszcze na jakiejś drodze prób i odkryć, których wyniki pokazuje światu bezpretensyonalnie i swobodnie.

Przeciwległą salę w Zachęcie zajęli pp. Rapacki i Popowski, dając moc krajobrazów zupełnie prawie jednakowych. Obaj artyści są bardzo zrównoważeni, ale zrównoważeni nieszczęśliwie: każdy z nich, dając po kilkanaście prac większych, dał tylko powtórzenie swej siły w coraz to innym motywie. U p. Rapackiego ani jeden obraz nie wyrywa się po za linię — wszystkie są do siebie podobne, a natura, w nich odtwarzana, rozumiana jest wszędzie jednakowo, bardzo nieartystycznie. Zdawałoby się, że p. Rapacki skrzętnie usunął swoje „ja“ z każdego obrazu, natury zaś nie analizował pracowicie dla niej samej; pobrawszy efekty najzrozumialsze, najgrubsze, stworzył cykl wielkich, kolorowanych fotografij. Samo obeznanie się z techniką malarską i zręcznymi piruetami pędzla, które biją z każdego obrazu, nie prowadzi jeszcze do stworzenia dzieła prawdziwej sztuki.

Mniej śmiały, ale również prawie bezsilny jest p. Popowski, rozporządza wszakże nie tak niepokalaną skalą, jak p. Rapacki. Obraz „Dzieci“ jest od innych o wiele szczerszy i lepszy, portret — ze wszystkich najsłabszy. Takie falowania lepsze są od zbytniej równowagi, świadczą bowiem o szczerości pracy.

Salon Krywulta pomieścił obecnie prace stowarzyszonych malarzy francuskich: Bourgeta, Milcendeau'a, Osterlinda i Aubertine'a.

Prace Bourgeta odznaczają się żywym kolorytem, który jednak, przeprowadzony przez wszystkie bez wyjątku obrazy tego malarza, staje się monotonny i często najzupełniej nie harmonizuje się z przedmiotem. Koloryt ten, polegający na sztucznem roztęczeniu wszystkiego, dobry w opowieściach z baśni czarodziejskich, słodki i kojący, razi wprost w scenach pełnych. Milcendeau usiłuje wydobyć syntezę najprostszych dramatów życiowych za pomocą najpierwotniejszych środków, lecz nie jest w tem ani zbyt szczery, ani zajmujący. Osterlind rysuje zręcznie, lecz sucho, główki kobiet i dzieci. Aubertin zaś, najzdolniejszy z nich chyba, daje bardzo dobre, pełne słońca krajobrazy prowansalskie. Wystawa, bądź co bądź, jest zajmująca i nie banalna.

Boczną salę zajął p. Flaum, wystawiając kilka rzeźb symbolicznych. Zdaje się, że największą wadą tych dzieł, są ich drobniutkie rozmiary, skutkiem czego zamierzonych wrażeń nie wywołują. Pięknym, lecz niezupełnie nowym pomysłem, jest „chmura,“ grupa z marmuru. „Marzenie“ jest dziwnie niedopowiedziane, nie dlatego, aby miało być niezrozumiałem, lecz, że jest niezrównoważone w ujęciu, wahając się między wizyą a pojęciem realistycznym; „Wampir“ ma charakter za słaby. Całość jednak wystawy wywiera wrażenie dodatnie, ponieważ nie zawiera, bądź co bądź, zabijających a *w rzeźbie naszej* rozpowszechnionych banalności, jak: wojujące psy, żołnierz przy ognisku itp. „tortowe“ grupy.

Wystawy Pankiewicza, Masłowskiego, sztuki polskiej, zbliżający się w Warszawie „Salon“ młodych, zapowiedziana wystawa „turnusowa“ krakowska, wystawa rysunków i akwarel, ogłoszony konkurs malarski w Zachęcie, wszystko to dowodzi wielkiego ożywienia się u nas ruchu artystycznego. Są już instytucye, stowarzyszenia artystyczne, gmachy, są mecenasi sztuki, mamy wybitnych i dzielnych artystów; brak nam tylko jeszcze jednej rzeczy, któraby te rozstrzelone gromadki złączyła i była wyrazem *graficznym* i świadectwem rzeczywistego istnienia sztuki polskiej. Rzeczą tą jest pismo: organ, poświęcony *wyłącznie* sztuce, który powinien wychodzić w zeszytach bodaj kwartalnych, czy nawet półrocznych, jednocześnie w Warszawie Krakowie i Lwowie Organ taki znalazłby napewno licznych abonentów w kraju i zagranicą, postawiłby sztukę naszą na zdecydowanem, określonem stanowisku i byłby zarazem pamiętnikiem dla przyszłych jej historyków.

Antoni Gawiński.

POEZYE

O rosy czyste!

O rosy czyste! Kwiatów zausznice,
Na pochylonej zawisłe łodydze,
Niby bisiorów sznur, jasne, przejrzyste,
Trwałej pogody cudne jasnowidze,
Powierzające kwieciu tajemnice,
O rosy czyste!

W nikłej, promiennej, kryształowej bańce
Skropliwszy cząstkę zwiewnego tumanu,
Poicie habry i lilie srebrzyste,
Odbłyskujecie brylantami z łanu
Aż za słoneczne horyzontu krańce,
O rosy czyste!

O rosy czyste, łzy szarej niedoli,
Po zasmuconem obliczu płyniecie
W życia poranki posępne i mgliste,
Gdy serce, marzeń kwiat tracąc po kwiecie,
Nad sobą czasem w cichości zaboli.
O rosy czyste!

Chmurka.

Przybieżała chmurka mała,
Dzień przed słońcem skryła
I na wrzosy srebrne rosy
Płacząc rozrzuciła.

Z wichru żalem szła podhalem
Na ciemne dąbrowy.
Śmiech zamiera, blask się ściera,
Gdzie wzrok rzuci płowy.

Chmurka płacze na tułacze
Nieszczęśliwe dole,
I na kłosy srebrne rosy
Rzuca precz przez pole.

Wtem z podhala wichrów fala
Uderzyła w górę.
Zahuczała, zaszumiała
I zwionęła chmurę.

Hen w przestrzeni, w mgieł czerwieni
Zabłysnęło słońce...
Świeci długą, jasną smugą
Na zielonej łące.

W nieba głębi—sznur gołębi,
Chmurki pierś przejrzysta,
Co w powodzi blasków chodzi,
Niby dusza czysta.

Zygmunt Turzyma.

NA MARGINESIE.

Etyka w szkołach. Związek Towarzystw etycznych w Anglii opracował podstawy nauczania etyki w szkołach tamtejszych, które w zarysach szkicowych ogłoszone zostały w organie związku „Ethics.“ Nauczanie podzielone zostało na siedem stopni, w których zawarte punkty, stosowane ściśle do wieku, rozwoju umysłowego i skali doświadczenia życiowego ucznia, mnożą się i wzrastają, obejmując coraz szersze, coraz wyżej i głębiej sięgające obowiązki względem siebie i drugich. A więc dla pierwszego roku nauczania w szkole przepisano następujący program: przedewszystkiem rozwijać w dzieciach *dobroć*, a więc współczucie dla wszelkiego stworzenia bezbronnego, dla much, którym malcy lubią bezmyślnie obrywać skrzydła i łapki, dla każdego robaka, dla wszystkich zwierząt domowych; dalej *męstwo* w znoszeniu drobnych przykrości i bólu, w zwalczaniu trwogi, której dzieci podlegają często na widok pająka, myszy lub t. p.; trzecie miejsce w tym programie zajmuje *czystość*: wykładający powinien wytłomaczyć dzieciom, jakie jest przeznaczenie każdego członka ciała i wpajać w nich konieczność czystego utrzymania rąk, nóg, zębów, nosa, ust, włosów itd., oraz staranność w ubraniu; czwartym punktem jest *prawdziwość*: w mowie, w obejściu — chronić się przesady, nieszczerości; piątym — *prawość*: wykazanie, jak brzydkiem uczuciem jest zawiść i zazdroszczenie drugiemu słusznie należących mu się nagród i odznaczeń; szóstym—*wdzięczność*: względem rodziców i nauczycieli; siódmym — *obyczajność*: w jedzeniu, piciu (łakomstwo), w odpowiedziach i zapytaniach (grzeczność), w zachowaniu, (hałaśliwość, wykrzywianie się, cierpliwe czekanie).

Tyle obejmuje pierwszy stopień nauczania. W drugim roku do powyższych przybywa *uczciwość* w pracy, w zwracaniu cudzej własności, w szanowaniu rzeczy w domu, w szkole, w miejscach publicznych, *względność* dla towarzyszów, dla uboższych, dla słabych, idyotów kalek; *panowanie nad sobą*: w postępowaniu (upór, zrzędność, dąsy, gwałtowność, kłótliwość), w mowie (niegrzeczne i nierozważne odzywanie się), w jedzeniu (powstrzymywanie się od niezdrowych pokarmów). W trzecim roku w programie widzimy: *posłuszeństwo*: względem rodziców i nauczycieli, poszanowanie prawideł i przepisów; *cierpliwość*, wyrażającą się w pogodnem usposobieniu, wyrozumiałości dla drugich; *wytrwałość* w pracy, w zabawie, w doskonaleniu samego siebie; *porządek*, jako systematyczność w zajęciu, konieczność punktualności. W następnych zjawiają się punkty jeszcze inne i w swem objęciu życia zewnętrznego i duchowego coraz rozleglejsze; te, które się powtarzają, przedstawiają stopniowo różnostronność i bogactwo swego oblicza; np. *obyczajność*, zacząwszy od przyzwoitości w jedzeniu i piciu, przechodzi różne stopnie: grzeczność w mowie, przystojność i uprzejmość w zachowaniu się, wesołość, łagodność, skromność i poszanowanie względem drugich. W ostatnim roku wyklady obejmują wyłącznie takie przedmioty: 1) *gospodarność*: — skromność potrzeb, złe skutki robienia długów i hazardu; *posiadanie*: indywidualistyczne i zbiorowe odpowiedzialność posiadacza własności; *obowiązki obywatelskie*: głosowanie, znaczenie i odpowiedzialność, jaką wkłada naród i rząd; *pokój i wojna*: stosunki międzynarodowe, znaczenie sądów rozjemczych; *współdziałanie*: wśród ziomków, między narodami: wymiana myśli, sztuk pięknych i przedmiotów wytwórczości; *wola*: jej kształcenie, rozumne, gruntowne, troskliwe i niepodlegające wahaniu spełniania tego, co jest słuszne; *czystość*, w myślach, w słowach i uczynkach, konieczność i piękność *ideału* w życiu.

Częściowo, po zakładach prywatnych w różnych miejscowościach Anglii, nauka moralności, według tego programu, jest od jakiegoś czasu prowadzona z jak najlepszym skutkiem. Po całym kraju odbywają się odczyty, na których wobec licznie zebranej publiczności ludzie wymowni i gorąco tej sprawie oddani dają próby takich wykładów przygodnie zgromadzonej dziatwie, pobudzając starszych słuchaczów do dyskusyi, malców do pytań.

PRASA ROSYJSKA.

Warsz. Dniewnik z d. 4 b. m. zamieszcza co następuje:

„W jednej z gazet polskich, wychodzących w Prusach, ukazał się w tych dniach ciekawy program żądań polskich, na których podstawie Polacy gotowi „pogodzić się“ z państwem pruskiem; żądają oni dla ziem polskich w Prusach najobszerniejszej autonomii politycznej, tj. sejmu samoistnego, polskiego namiestnika, wprowadzenia języka polskiego do administracyi i szkoły; uwolnienie duchowieństwa polskiego od wszelkiej kontroli państwowej. Prócz tego, żądają zniesienia komisyi kolonizacyjnej i utworzenia polskiego banku rolnego. Prasa niemiecka oceniła te żądania, jak na to zasługiwały, i orzekła z wielką jednomyślnością, iż urzeczywistnienie programu polskiego byłoby równoznacznem z przywróceniem Polski w granicach Prus i utworzeniem państwa w państwie. Rozumie się, pisze *Schlos. Zeitung*, rząd pruski nie przyjmie tego programu niedorzecznego, który świadczy tylko o wielkiem niepojmowaniu przez Polaków rzeczywistości, w jakiej się znajdują. Rząd pruski w żadnym przypadku nie odda wojującemu żywiołowi polskiemu tej pracy kulturalnej, którą już wyrobił germanizm w ziemiach polskich; przeciwnie, rząd pruski działa bardzo konsekwentnie w duchu wzmocnienia germanizmu, lecz według zdania gazety, należałoby obostrzyć środki represyjne przeciwpolonizmowi.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Towarzystwo Kolonij letnich powzięło zamiar ulżenia niedoli dzieci, dotkniętych przewlekłą chorobą oczu, zwaną jngliczą. Projektuje ono wysłać na wieś 60 chłopców i 60 dziewcząt chorych na oczy i ma nadzieję, że mu w tem ofiarność publiczna dopomoże, gdyż Tow. funduszu na ten cel nie posiada, koszt zaś urządzenia kolonii, obliczono na 3,600 rb. rocznie.

— Galicyjska rada szkolna poleciła w szkołach wszelkiego rodzaju wprowadzić farby i tusz, pochodzące wyłącznie z fabryk krajowych.

— Poznański komitet opieki nad ofiarami wrzesińskiemi ogłasza, że na dzieci i rodziny skazanych złożono ogółem 178,349 m. 6 fen. Z Galicyi, za pośrednictwem Banku dla handlu i przemysłu złożono 109,498 kor. 47 hal. Nadto na cele oświaty młodzieży złożono razem 27,122 m. 62 f.

— W celu jednoczenia Polaków na Górnym Śląsku, otworzony będzie w Katowicach „dom polski,“ na którego budowę zebrano dotąd 15,000 marek.

Dla Konopnickiej. Utworzył się w Warszawie komitet w celu wydania księgi zbiorowej prac poetyckich na rzecz Maryi Konopnickiej. W skład komitetu weszli pp.: Deotyma, F. Faleński, K. Gliński, K. Kaszewski, A. Pług, J. A. Święcicki i A. Opman (Or-Ot).

Szkoły. Z początkiem przyszłego roku szkolnego otwarte będą w Petersburgu i Moskwie niższe dwuklasowe szkoły budowlane, dające stopień technika budowlanego.

— Ministeryum oświaty, zamierzając ustanowić sprzedaż książek w szkołach wiejskich, zwróciło się do warsz. okręgu naukowego z zapytaniem, czy można tę czynność powierzyć nauczycielom.

— Kurator okręgu naukowego warszawskiego otrzymał upoważnienie ministeryum oświaty do wydawania pozwoleń na tworzenie kursów niedzielnych dla dzieci i osób dorosłych przy zakładach naukowych prywatnych, z warunkiem, aby dozór nad wykładami powierzany był wyłącznie osobom, stojącym na czele szkół rządowych.

— W Warszawie otworzona będzie, pod nadzorem warszawskiego okręgu komunikacyj, pierwsza 2-klasowa szkoła żeglugi z kursem czteroletnim. Oprócz przedmiotów ogólnych, wykładane w niej będą: mechanika, budowa i kierowanie statkami itd.

Z uniwersytetów. Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego ogłosił konkurs na obsadzenie katedry lektora języka angielskiego.

Z politechniki. Rada instytutu politechnicznego uwolniła od wpisu na wydziale inżenierskim na IV kursie 20 studentów, na III — 13, na II — 15 studentów; wpisy obniżono do połowy 4 studentom kursu III i ... — II-go; 12 stud. odmówiono uwolnienia od opłaty. Na wydziale mechanicznym uwolniono od wpisu 31 na kursie IV, 37 na III i 14 na II; opłatę obniżono do połowy na IV kursie 2, na III — 6, na II — 12, odmówiono 10-iu. Zasiłki pieniężne w sumie od 15 do 20 rb. wydano 10 studentom na wydziale inżenierskim i 6 na chemicznym.

— W politechnice warszawskiej wprowadzony będzie system semestrowy na kursie II, III i IV, na pierwszym zaś pozostanie zwyczaj dawny, tj. studenci składać będą egzaminy przejściowe przy końcu roku, przyczem ci, którzy egzaminów nie złożą i zechcą pozostać drugi rok na kursie pierwszym, obowiązani będą złożyć egzamin konkursowy, ogólny dla wszystkich kandydatów, wstępujących do instytutu. Prócz tego wprowadzona będzie na kursach klasyfikacya przedmiotów.

Egzaminy w celu otrzymania świadectwa na prawo wykładania buchalteryi w szkołach handlowych odbywać się będą w r. b. w wielkiej sali rady ministeryum skarbu od 22 do 24 maja.

Prasa. Wyszedł pierwszy numer nowego czasopisma *Dziwy życia*, poświęconego spirytyzmowi, medyumizmowi itp.

— Wydawnictwo dziennika lwowskiego, *Wiek XX*, zostało zawieszone na kilka miesięcy.

Dar. P. Józef Zieliński z Łażyna ofiarował dla m. Płocka bibliotekę, liczącą z górą 30,000 tomów, z warunkiem, że będzie ona zawsze pod opieką płockiego Towarzystwa rolniczego.

Hakata. Sąd poznański skazał obywatela Teofila Fliegiera na 50 m. kary za to, że dopuścił się „karygodnej zmiany nazwiska“ niemieckiego na polskie, przez wprowadzenie litery *i* do jego pisowni; nakazano mu pisać się Flieger.

— Z Poznania donoszą, że wydalono z gimnazyów tamtejszych znaczną liczbę młodzieży polskiej pod zarzutem należenia do stowarzyszeń tajnych.

— Policya gdańska nie pozwoliła w Szydlicach urządzić zabawy tanecznej w Towarzystwie „Oświata,“ na tej zasadzie, że w towarzystwach politycznych kobiety nie mogą brać udziału.

— Z Katowic wydalono wszystkich robotników polskich i czeskich, którzy krócej niż rok byli zajęci w przemyśle niemieckim.

— Studenci polscy w Berlinie zwrócili się do ministra oświaty ze skargą na senat uniwersytecki, który zabronił im należenia do stowarzyszeń polskich, a nawet bywania na ich zebraniach w charakterze gości. Minister zażalenie odrzucił i oświadczył: „Jeżeli władze akademickie tutejszego królewskiego uniwersytetu wyraźnie zabroniły wszelkiego uczestniczenia w zebraniach i posiedzeniach towarzystw polskich pod groźą kar dyscyplinarnych, to ja mogę zarządzenie rzeczone w interesie uczącej się młodzieży tylko pochwalić.“

— *Dziennik Poznański* donosi, że dziesięciu nauczycieli z regencyi gdańskiej, między nimi trzech z nazwiskami polskiemi: Kleszczyński, Świeczkowski i Rogalewski, otrzymało nagrody pieniężne za „skuteczne nauczanie języka niemieckiego.“

Konkursy. Galicyjski wydział krajowy ogłosił konkurs, z fundacyi Franciszka Kochmana, na dwa dzieła w języku polskim. Do współzawodnictwa będą dopuszczone prace autorów polskich, w języku polskim pisane, z wyjątkiem religijnych i teologicznych, wydawnictwa zaś materyałów historycznych itp. tylko wtedy, gdy im towarzyszy oryginalne dzieło autora. Mogą być nadsyłane także dzieła autorów zmarłych, z zastrzeżeniem, że jeśli są już drukowane, to prawo ubiegania się służy im tylko w ciągu trzech pierwszych lat od zgonu autora; jeżeli zaś nie — to nagroda ma być użyta przedewszystkiem na wydrukowanie. Dzieła autorów żyjących mogą być nadsyłane tylko drukowane i to nie dawniej, jak w r. 1892. Własność literacka pracy nagrodzonej pozostaje przy autorze. Nagrody dwie: 2,000 i 1,000 koron. Termin ostateczny nadsyłania prac oznaczono na dzień 31 grudnia 1903 r.

Pamiątki. Wobec mającego nastąpić oddania pod zarząd Cesarskiej komisyi archeologicznej znacznej ilości pamiątek i zabytków w Królestwie Polskiem, których spis wszędzie został ukończony, jeden z tutejszych członków komisyi wystąpił do zarządu z projektem utworzenia w Warszawie oddziału komisyi, ponieważ utrzymanie tak znacznej ilości pamiątek przez mianowanych opiekunów byłoby dość uciążliwe i nie odpowiadałoby celowi. W razie utworzenia oddziału, wynalazłby on środki dla konserwacyi pamiątek i działałby w tym kierunku skuteczniej, niż zarząd główny, mający dozór nad pamiątkami w całem państwie. (*Kur Warsz.*).

Oświata. Ministeryum oświaty zezwoliło na wykłady medycyny popularnej w dwuklasowych szkołach ludowych.

— W Battersea, dzielnicy Londynu, urządzono czytelnię dla dzieci przy jednej z bibliotek publicznych, w dużej, dobrze przewietrzanej sali. Czytelnicy przychodzą sami lub przyprowadzani przez rodziców. Dla dzieci starszych są czasopisma i książki wszelkiej treści, dla malców, nie umiejących dobrze czytać—książki z obrazkami. Na ścianach wiszą plakaty z napisem: „Rozmowa głośna i niegrzeczne zachowanie się są karane wyrzuceniem za drzwi.“ Ta groźba nie jest gołosłowną i ma ten dobry skutek, że kto raz był karany, zachowuje się nadal wzorowo. Czytelnia cieszy się podobno nadzwyczajnem powodzeniem.

Kongresy. D. 15 czerwca odbędzie się w Dusseldorfie kongres międzynarodowy w sprawie mieszkań robotniczych; trwać będzie cztery dni.

Przemysł i handel. Właściciele gorzelni w Królestwie Polskiem wysłali w zeszłym miesiącu za pośrednictwem agentury kolei Syberyjskiej kilkadziesiąt wagonów spirytusu 90⁰. Ładunek ten przeznaczony był przeważnie do Omska i do stacyi Ob, gdzie gorzelnie jeszcze nie istnieją.

Nauka. Dr. Behring, głośny uczony i badacz drobnoustrojów, wydał obecnie w Mahrburgu dzieło, w którem zdaje sprawę ze swych studyów nad gruźlicą u ludzi i u zwierząt. Dowodzi on, że bakcyle ludzi chorych na gruźlicę i wołów, dotkniętych perlicą, są natury jednakowej. Różnice morfologiczne i biologiczne bakcylów gruźliczych w wyglądzie, rozwoju i jadowitości zależne są od warunków życiowych danego organizmu. Tożsamości natury bakcylów gruźliczych u ludzi i zwierząt dowodzą, między innemi, jednakowe właściwości chemiczne i fizyologiczne jadu, oraz fakt, że zastrzyknięcie ludzkich bakcylów gruźliczych zwierzętom uodparnia je zupełnie przeciw zarażeniu perlicą. Wszystkie uzyskane z bakcylów gruźliczych preperaty mają wspólne jądro jadu, t. zw. tuberkulozynę, bez której żadna substancya nie może posiadać własności chorobotwórczej. Behringowi udało się przez zastrzyknięcie słabo rozwiniętych bakcylów gruźliczych uodpornić młode woły przeciw działaniu bakcylów, które zabijały woły nieuodpornione. Odkrycia powyższe obalają teoryę Kocha, który na kongresie medycznym w Londynie dowodził, że gruźlica u ludzi i perlica u zwierząt są chorobami najzupełniej różnemi, a bakcyle perlicy nieszkodliwe dla ludzi.

Koleje i komunikacye. Z powodu przeciążenia pracą adwokatów, załatwiających sprawy sądowe kolei Nadwiślańskich, zarząd wystąpił do władzy wyższej z podaniem o powiększenie liczby obrońców z 12 do 14, z pensyą od 1,800 do 2,400 rb. rocznie, czyli że wydział prawny kolei będzie się składał z jednego radcy prawnego i 14 adwokatów. Nadto zamierzone jest powiększenie w tymże wydziale etatu kancelistów z 38 do 50, z pensyą 420—800 rb. rocznie.

— Na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w sezonie letnim wprowadzone będą bilety powrotne z Warszawy do Ciechocinka, które będą kosztowały: w kl. I—9 rb. 87 kop., dla dzieci 2 rb. 47 k., w kl. II — 5 rb. 92 k., dla dzieci 1 rb. 48 k., w kl. III — 3 rb. 95 k., dla dzieci 99 kop. Bilety te sprzedawane być mają w niedziele i święta, oraz w przeddzień tych dni, a będą służyły tylko na pociągi osobowe i towarowo-osobowe. Powrót winien nastąpić w poniedziałek lub nazajutrz po święcie.

— Jednocześnie z wprowadzeniem letniego rozkładu jazdy zastosowaną też została nowa, podwyższona taryfa osobowa na odległości powyżej 3,010 wiorst, która wynosi w klasie III — 40 kop., w II — 60 kop., w I — 1 rb. za strefę 70-wiorstową. Podwyższoną również została opłata dodatkowa za przejazd w pociągach kuryerskich i pospiesznych na niektórych drogach rządowych: w kl. 1 z 20 na 30, w II — z 30 na 40%. W tym samym stosunku podwyższono opłatę za przewóz bagaży.

— Postanowiono przeprowadzić kolej elektryczną między Rzymem a Neapolem. Przestrzeń tę, wynoszącą 250 kilometrów, będzie można przebywać w dwie godziny.

Katastrofy. Dakkę i okolice sąsiednie w Indynch Wschodnich nawiedził cyklon, który zniszczył urodzaje i przyprawił o śmierć około 40 ludzi.

Zmarli. Karol Matuszewski, dziennikarz i literat w Warszawie.

— Albert Bitner, budowniczy, wydawca *Bulletin Polonais* i członek rady szkoły polskiej w Paryżu.

— Ksawery de Montepin, powieściopisarz francuski, w Paryżu; żył lat 78.

Odpowiedzi Redakcyi.

Wielbicielowi Prawdy w Lublinie. Zupełnie wyczerpująca odpowiedź dać może tylko sam autor: Paris, Schleicher Frères (wydawca ten jest z pochodzenia Żydem).

Panu Łok., lekarzowi w Jędrzejowie. Nie trudno chyba domyśleć się, że omyłką drukarską jest wyraz „mięch“ a nie „kulturny“; dziwi nas, że Szan. Pan tego nie odgadł z samego sensu zdania.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Апрѣля 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.